12 stron

Cena 10 zł.
(9 zł + 1 zł na Dom Słowa Polskiego)

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

POLSKA JEST WSZĘDZIE, GDZIE BRONIĄ WOLNOŚCI

Józef Sułkowski

Rok 2 | Łódź, 9 września 1946 r. | Nr 35 (53)

Biblioteka Lit. Łódź Andrzeja 14.

ADOLF RUDNICKI

WRZESIEŃ*)

Nasze stanowiska znów nam rozbito, z ludzi znów uczyniono nam jatkę. Okładani bombami przez samoloty, przed którymi gdzieniegdzie osłaniała nas koronka kasztanów, uciekaliśmy do twierdzy modlińskiej, odległej o kilka kilometrów; stanowiliśmy jej zewnętrzną linię obronną. W Modlinie, gdzie było za mało broni, żywności i pomieszczeń, lecz za dużo wojska, wtłoczono nas do garażu o ścianach z cienkiej, falistej blachy, jak pralka. Nasza przydatność jako żołnierzy znów się skończyła. O zmierzchu strach, który po całodziennym ogniu ledwo przychłódł na ludziach, wzrósł na nowo. Na młot artylerii, grającej od ciemności do świtu, pralka była oporna jak karton na płomień. Przełożeni wyszli. Pozostanie w garażu przez noc oznaczało pewną śmierć. Ludzie z przejętymi twarzami zastanawiali się co robić. Jedni oświadczyli, że za nic nie ruszą się z garażu. Inni, rozbiwszy się na grupki, wyszli szukać schronienia.

Zatrzymaliśmy się niedaleko, przed bunkrem, gdzie wstępu bronił pionier. Mówił nam: odejdźcie kanonierzy, widzicie przecie że nie można. Nie ma miejsca... Pod świst pierwszych szrapneli wpłynęliśmy do środka. Była to ciupka z niewielu pryczami i stojakiem na karabiny — wartownia; świecił kaganek naftowy. Porucznik w koszuli i czapce przemawiał nam do rozumu: Czy chcecie, żebyśmy się wszyscy podusili? Już nie ma czym oddychać, a co będzie w nocy? Artylerzyści, idźcie stąd, idźcie do siebie... Ponieważ pionierzy nie strzelali do nas, nie ucinali nam rąk, a na dworze miauczenie szrapneli przeszło w burzę pocisków, nie ruszyliśmy się. Zostaliśmy jak kogo „złapało" — stojąc, kucając, siedząc. Nie można było zmienić pozycji. Wagi pustych miejsc w przyrodzie nigdy nie poznaliśmy lepiej, jak tej nocy. Mieliśmy ze sobą menażki — to się okazało szczęśliwe.

Dusiłem się i brak powietrza dokonał tego, czego nie dokonały słowa oficera. Wydostałem się wraz z Walkiem, którego poznałem na szosie z Warszawy do Modlina dwa tygodnie temu. Odtąd trzymaliśmy się razem; jeden drugiego uważał za swój talizman. Pociski wszelkiego kalibru przeszywały powietrze na rozmaitych wysokościach. Szczękaliśmy zębami, noc scisnęła nas jak prasa z lodu. Łomotaliśmy bezskutecznie do jakichś schronów, chrapiących ciepłym ludzkim snem. W jednym odezwały się głosy. Po targach wpuszczono nas i użyczono kawałka kamiennej posadzki, która zapachniała nam jak głodnemu piekarnia; wypadliśmy natychmiast z jawy. Nad ranem rozległ się brzęk krótkofalówki, nagle pogłębiona cisza wyssała z nas resztki snu.

Ręką nakazując spokój kilkunastu żołnierzom leżącym na pryczach, radiotelegrafista powtarzał: Kazimierz Franciszek Adam Józef Adam Franciszek Karol — i tak dłuższą chwilę. Już nie trzeba było żołnierzom nakazywać ciszy. Niemo i żarłocznie spoglądali w aparat. Radiotelegrafista, młody chłopak, o twarzy ulanej jakby z *dwóch gatunków wosku, ciemnego i jaśniejszego*, nie odrywając wzroku od taśmy odczytał: Zaprzestać wszelkich działań wojennych. Na wszystkich fortach wywiesić białe chorągwie. Nieprzyjaciel przyrzekł uszanować przepisy międzynarodowe.

Po czym dodał:

— Pierwszy raz ten radiogram nadany był o północy, ale mój poprzednik spał.

W bunkrze o grubych murach, grubym sklepieniu, żyłowanym jak mapa fizyczna żołnierze, którzy przez dwadzieścia osiem dni byli jak niemi, odzyskali głos. Krzyczeli. Radość silniejsza od wszystkiego, rozsadzała ich, domagała się ujścia. Od dwudziestu ośmiu dni, od samego niemal początku tej nierównej wojny czekano na tę chwilę. Nastał więc koniec, koniec nalotów, rzezi i bezsensu — to było najważniejsze. Żołnierze obejmowali się. Blady radiotelegrafista zrzucił słuchawki z uszu i zaczął tańczyć.

Wyszedłem na dwór. Mózg, jak klajstrem dotąd zlepiony, odzyskał ruchomość. Niebo stało w czerwieni. W powietrzu cedziły się składniki, które obiecywały dzień jak włosy anielskie. Na wąsach traw świeciły kolczyki dżdżu. Panował jeszcze chłód, ale się czuło iż za trzy, cztery godziny ziemia rozgrzeje się łatwo jak morelka. Z daleka dochodziła zajadła strzelanina — to w oddziałach wyzbywano się amunicji, wystrzeliwano ją w powietrze. Spełniano ostatnią powinność. Uniosłem głowę. Nareszcie można było unieść głowę, zbolałą od kurczenia jej podczas nalotów. Odetchnąłem. Miałem wrażenie jak gdyby zwrócono mi prawo do powietrza. Niebo.

Naraz zwróciłem uwagę na Walka. Stał w bok odemnie, w tym krzyku, w tym wirze, w tym ogólnym podnieceniu zbyt nieruchomy. Gdy przyciągnięty innością podszedłem doń, odwrócił głowę. Prawie jednocześnie zauważyłem chustkę w jego ręku i łzy w oczach. Dwudziestego ósmego września o świcie nikogo nie radowały powody niezwiązane z wojną i nikt z innych powodów nie miał łez w oczach. Ścichłem w sobie. Walek schował chusteczkę.

Polacy na kresach wschodnich byli niechętni Rosji, na zachodnich nienawidzili Niemców. Ta nienawiść sąsiedzka w centralnej Polsce — po dłuższym okresie pokoju — była nienawiścią z drugiej ręki. Ja pochodziłem z środkowych stron kraju, Walenty z Poznańskiego. Ponieważ bywał bity za to, że mówił po polsku, bił potem sam, gdy słyszał język niemiecki; Wielkopolanie — najlepsi, najszczersi Polacy — pod wieloma względami są przecież podobni do Niemców. Tam na kresach walka nie ustawała nigdy. Tam nie znano nigdy pokoju całkowitego. Ponieważ był na to czuły, widział noże w oczach Niemców polskich przez wszystkie te lata, kiedy myśmy nic nie widzieli. Znał wagę posterunków granicznych, gdy dla nas były one tylko śmiesznymi, białoczerwonymi słupkami. Reagował na historię codziennie, gdy myśmy — w książkach — patrzyli na nią nieuważnymi oczami; my — generacja, dojrzewająca w centralnych dzielnicach wolnego kraju, który nigdy więcej nie miał zaznać niewoli. Walenty był przygotowany wewnętrznie na wypadki które nastąpiły, gdy my pod żadnym względem nie byliśmy przygotowani. *Niewola* — to słowo bardziej niż inne znane w języku polskim — nic nam nie mówiło, gdyż słowa osobiście nietknięte pozostają tylko słowami. Walenty zdawał sobie sprawę w co wchodzi. Kapitulacja była dla niego końcem nie tylko nalotów i głodu, ale i wolności i domu. Wiedział, że już nie ma po co wracać do siebie. Bezbronny wydany był na łup nienawiści. Znał jej siłę.

Ruszyliśmy na poszukiwanie dywizjonu.

— — — — — — — — —

Nie Walentego, ale moja reakcja była typowa. Boczkiem przemykali się oficerowie. Środek drogi natomiast należał do żołnierzy, którzy zachowywali się jak podczas święta. Mieli nadzieję, że już się nie będą szarpać o koninę ani dzielić bochenek między jedenastu. Tej nadziei dawali głośno wyraz. Chwalili pokój, chwalili niebo, nie plujące ogniem, dyszeli radością, śmiechem, ulgą. Pierwsze godziny kapitulacji należały do żołnierzy — pierwsza godzina wszelkich zmian należy zwykle do biedaków. Nie patrzeli na oficerów. Od dwudziestu ośmiu dni patrzyli na krwawy bezsens, rzeź bezsensowną, za którą — kto był odpowiedzialny, jak nie oficerowie? W ulotkach, które wróg zrzucił, los żołnierza oddzielił od losu oficera. Żołnierz miał wrócić do domu, oficera czekał obóz. Decyzja zwycięzcy wykreślała teraz linię podziału.

W magazynach mob. tajemniczych, zaplombowanych dotąd, staliśmy — oberwańcy — nad stosami odzieży i butów, wyciągaliśmy co lepsze i zaraz na miejscu wśród komentarzy, zmienialiśmy ćwiczebne, łatane drelichy, w których przebyliśmy wojnę na porządne, sukienne mundury teraz — gdy ścieliła się przed nami ciemność i niewola. Wciągnąłem całe portki, wzułem saperki — które wywoływały zachwyt Niemców, słynących z brzydkich butów — i, odmieniony, pomyślałem z ogniem w duszy o pewnym domu, o pewnych schodach i pewnych drzwiach, pod którymi jeszcze dzisiaj miałem się znaleźć. Nic nie rozumiałem. Obok mnie przebierał się Walenty.

Nie zastaliśmy dywizjonu: garaż o ścianach z falistej blachy był pusty, dach przebity pociskami. U wejścia leżało dwóch żołnierzy, wytarzanych w błocie, kurczowo przylgniętych ku ziemi. Wewnątrz na kocich łbach walał się sprzęt malokalibrowy. W pustce pyliło jeszcze wieczornym życiem. Potem przeszliśmy do bunkru, gdzieśmy spędzili początek nocy. Ciupka tchnęła teraz ciszą i schludnością jak dom samotnej kobiety. Obecny był jeden jedyny pionier, który zamiatał podłogę z cegieł. Nie przerywając tej czynności poinformował nas, że dywizjon uciekł nad ranem. Jeśli się nie przesłyszał, to do elektrowni.

Długo szukaliśmy elektrowni. Pytaliśmy o nią żołnierzy, którzy po raz pierwszy słyszeli o elektrowni w twierdzy. W pewnym momencie naszych poszukiwań pokazał się samolot. Żołnierze porzucili drogę i skryli się za drzewami, niektórzy pokładli się nawet na ziemi. Pokój był świeży, młody, nieufność, niewiara starsze, głębiej zakorzenione. Wiele śmiechu było potem z tego powodu.

Znaleźliśmy dywizjon nie pod elektrownią, lecz na placu pułkowym 1 p. a. c., gdzie oczekiwał na kapitana Łykaczewskiego. Czekano dobrych kilka godzin, więc wzięto się do rozniecenia ognisk i ugotowania czegoś do jedzenia na własną rękę, bo kuchnia dywizjonowa już nie karmiła. Polem przeszli Niemcy, zieloni, jak niektóre muchy, wymachiwali rękami i wołali do nas: Jutro pójdzieta do mamy... Ludzie w pierwszej chwili aż dech tracili.

— — — — — — — — —

Nim łapa niemiecka spadła na dywizjon, nim rozproszyła go w masie jeńców, nim się dywizjon ostatecznie rozpłynął, raz jeszcze zagrał sobą, wojskiem, ojczyzną. Stało się to po przybyciu kapitana Łykaczewskiego. Gdy dowódca pułku ppłk. Dziubiński zginął w szarży na czołgi pod Mławą w czwartym dniu wojny, kapitan objął dowództwo nad tym co po rozbiciu pozostało. Nie widziałem go nigdy, ale co dzień po kilkakroć słyszałem jego nazwisko. Przebywał z sześcioma żołnierzami na punkcie obserwacyjnym — na tak zwanym w skróceniu peo — gdzie posyłaliśmy co dzień jedzenie. Teraz zobaczyłem go po raz pierwszy. Był cały w barwach lata i jesieni — w brązach i w złocie. Miał ciemnozłote włosy, wąski nos w szerokiej, pękatej twarzy, nasyconej rudościami jak drzewa październikowe. Ubrany był w krótki kożuszek, który przydał mu się podczas chłodnych nocy września. Patrzył bez przerwy w ziemię.

Podchorąży Madej skrzyknął zbiórkę. Po raz ostatni słyszeliśmy komendy, które wychowały nas, lecz nie przygotowały. Zduszony ogień strzelił spod popiołów; nogi przebiegł płomień. Madej odmeldował zbiórkę porucznikowi Orzechowskiemu. Porucznik Orzechowski okrzykiem raz jeszcze wyrównał szereg, po czym sam dołączył się do prawego skrzydła, dowództwo zdawszy kapitanowi Łykaczewskiemu.

Po raz ostatni oto stał dowódca przed swym oddziałem — oddział przed dowódcą, po jednej i po drugiej stronie zdawano sobie z tego sprawę. Patrząc nie na nas, ale w niebo poza nami, kapitan Łykączewski przemówił. Mówił, co powinien był mówić, co mógł. Że żołnierz walczył ponad wszelkie pochwały, ale przewagi tak wielkiej nie można było wyrównać męstwem. Żołnierz walczył tak, iż nawet w nieprzyjacielu wzbudził szacunek. Przeciw samolotom karabinem ręcznym. Przeciw czołgom kawalerią. Nie miał czołgów, ani ciężkich dział. Nie miał karabinów maszynowych ani nawet zwykłych karabinów pod dostatkiem... Kapitan mówił długo i cicho, lecz chociaż mówił cicho, głos jego przenikał. Zakończył tak:

— Żołnierze! Nasze drogi się rozejdą. Wy powrócicie do domów, nas czeka niewola, nie będzie nas z wami. Będziecie zdani na samych siebie. Uczcie drugich, wy którzy coś umiecie, ten obowiązek spada na was. Czekają nas wszystkich ciężkie dni. Żołnierze! Pamiętajcie, gdziekolwiek będziecie, Polska będzie z wami. Bądźcie jej godni...

Wszyscy w dywizjonie słyszeli jak ostatnie słowa zamarły kapitanowi Łykaczewskiemu w gardle. Ujrzeliśmy łzy w jego oczach, przeszedł nas dreszcz. Zaległo milczenie, które parzyło. Kapitan Łykaczewski czekał. Kapitan Łykaczewski ciągle czekał mniemając, iż z wszystkich piersi dobędzie się spontaniczny śpiew. Kiedyż w sposób naturalniejszy miałby wybuchnąć, jak nie teraz? Falą skargi na ten wiecznie gorzki polski los, rozpaczą, nadzieją, wiarą, śpiew powinien był plac zalać, nieba sięgnąć — kiedy jak nie teraz. Kapitan Łykaczewseki czekał mniemając, iż w żywiołowym odruchu otworzą się teraz serca jego żołnierzy. Ale kapitan Łykaczewski się nie doczekał. Gdyby miał przed sobą oddział podchorążych, doczekałby się. Ale dywizjon składał się z chłopów. Chłopi milczeli.

Gdy brak fermaty stawał się już zbyt bolesny, kapitan pierwszy zdjął czapkę polową i zaintonował *Jeszcze Polska nie zginęła*. Dywizjon podchwycił pieśń. Pierwszą zwrotkę znali wszyscy dobrze, ale im dalej, tym było gorzej, tak że pod koniec śpiewali tylko nieliczni. Pomimo to, gdy się śpiew skończył, wszyscy byli wzruszeni, a niektórzy nawet wycierali łzy. Potem kapitan raz jeszcze zabrał głos. Powiedział, iż pragnie niektórych wynagrodzić za ich dzielność. Wyjął z teczki papiery i rzekł:

— Już niestety nie stać Ojczyzny na inną nagrodę. Ale jeśli wam Polska droga, drogie będą wam te papiery i strzec ich będziecię jak oka w głowie.

Powręczał zaświadczenia odznaczonym, ściskał im ręce i salutował. Wszystko to

*) Fragment niezamieszczony w książce która się niedawno ukazała pod tym samym tytułem.

razem było ponad wyraz gorzkie i cudne.

— — — — — — — — —

Nie każą nam się rozchodzić, zdanie broni może nastąpić lada chwila. Wszyscy jesteśmy przekonani, że po zdaniu broni puszczą nas do domu. Czekamy więc, rozkazu nikt nie zmienia ani odwołuje, ale do zdania broni nie dochodzi. — Zapada zmierzch. Nikt już nie ma wątpliwości, że żadnych zmian dziś nie będzie. Namawiamy szefa Stopkę, żeby pozwolił rozpalić pod kuchnią, która ocalała, by zrobić kolację dla wszystkich, gdyż mniej zaradni chodzą głodni. Po swym przemówieniu kapitan Łykaczewski zażądał od Stopki, aby rozdzielił między żołnierzy to co uratował. Pniakowaty Ignaś, wierny sługa, który nie pozwolił nigdy podejść do taboru na odległość ręki, odkrył brezent. Okazało się, że dywizjon posiadał i koce, i płaszcze. Nie rozdzielano ich do tej pory, gdyż być może że istniał zakaz. Ale, jakby to powiedzieć, Stopka czy inni podlegali z przyjemnością temu zakazowi, który pomnażał ich wartość, jak głód zmniejszał wartość głodujących.

Rozdzieliwszy — bez zapału — część taboru, Stopka prowiantu nie pozwolił tknąć; nie oswoił się jeszcze z myślą rozdania wszystkiego. Kucharza Nogę trzeba było długo namawiać, aby wrócił do swych czynności. „Jakto, teraz? Nawet teraz, gdy się wojna skończyła"? Był jeszcze inny powód tej niechęci. W pobliżu mieściły się domki podoficerskie — bezpańskie i jeszcze ciepłe. W szafach wisiały suknie, w bieliźniarkach bielizna, na łóżkach leżała pościel, przed łóżkami futerka. Nasz krwawo-biedny prosty człowiek dostaje drgawek na taki widok. Nasz krwawo-biedny, prosty człowiek, o którego państwo nigdy się nie troszczyło, wie że tylko to będzie jego, co szybko weźmie i jeszcze szybciej ukryje w pończosze, w komórce lub zakopie w ziemi. Podobnie jak inni, kucharz Noga z nieprzytomnymi oczami ładował do dużego wora to wszystko, co uważał za cenne: futra, buty, bieliznę (a co Niemcy już nazajutrz mu odebrali). Jego wór nie był jeszcze pełny, stąd ociąganie się. Ale Kożluk, rodak, do którego kucharz miał zaufanie, obiecał mu wór dopchać i Noga zażądawszy drewek zabrał się do grochówki. Szef obiecał nie żałować wędzonki.

Obrotniejsi dość szybko zorientowali się, że jak dobrze poszukać, znajdzie się i coś z prowiantów w dawnych mieszkaniach podoficerskich. Ogień więc trzaska pod blachą, przy której partie często się zmieniają. Jedni smażą, drudzy gotują, jedni i drudzy wykazują duże umiejętności w tej dziedzinie. Tołstoj wykpiwa gdzieś studentów: Patrzcie, pisze, ile chłop więcej umie od was. Tę przewagę chłopa wojna ujawnia na każdym kroku. Tylko niedołęgi czekają na Nogę, któremu nie wiedzie się dzisiaj. Drzewo nie chce się palić, groch mięknąć.

Noc bez gwiazd, chłodna po żarliwych kuchniach, kładzie się jak wachlarz na rozpalonej twarzy. Przyjemnie tu w otoczeniu ludzi, z którymi niejedno się ,przeszło przyjemnie poczuć przyjacielskie ramię wśród pogwarki, nie niepokojonej przez śmierć nagłą i stałą. Przyjemnie zwłaszcza tu, w obrębie dywizjonu i kuchni. Dalej zaczyna się ciemność i niewiadome.

Spanie nie stanowi zagadnienia dzisiejszej nocy. Jest miejsca pod dostatkiem w domkach, gdzie można się nawet do łóżka położyć, rozebrać. Dzisiejszej nocy będzie można zstąpić głębiej w sen, który bywa wielowarstwowy, który nakrywa raz jak łach, a raz jak futro kosmate. Przez dwadzieścia osiem dni września mój sen był cienki jak maca. Prócz domków jest bróg, siana w nim sporo. Tam się też kieruję spragniony odosobnienia i bojąc się go zarazem. Nie doczekawszy się grochówki, zakopałem się w słomie.

Przespałem tę noc nie czując jej. Szept podobny do różańca, jednostajny, ugniatający, bolesny, zbudził mnie. Po chwili zaczynałem chwytać sens słów: wrócą do domu. Może. Ale do *jakiego* domu? *Jakie* będzie to życie teraz? Zastaną bliskich? Nie wypędzono ich? Ale najpewniej nie uda się wrócić. Popędzą do Prus. Na bandos... Dwóch chłopów rozmawiało ze sobą. Jeden z nich był zdania, że Prusy to pół biedy, ale...

Ciężar dobywający się z szeptu chłopów, z światła świtu w kolorze wody, sączącego się przez szpary stodoły; ciężar ten, który zrazu wydał mi się kosmiczny i niewytłumaczony, rychło nabrał treści zrozumiałej, racjonalnej. Wczoraj kapitulacja była końcem rzezi, głodu, bezsensu. Dzisiaj nie mieliśmy już nad głowami ani samolotów, ani groźnej i niewidzialnej artylerii, mieliśmy spokój, upragniony spokój, ale *ten spokój prowadził ku czemu? Naraz odczułem, zrozumiałem, że niewola już się zaczęła.*

Słowo *niewola,* na które nasza generacja była głucha, nagle otworzyło się przede mną. Blade, płytko trawione słowo to podeszło pod serce i w bolesnym zrozumieniu odczułem, co ono niesie. Już nie przez łzy Walka i kapitana Łykaczewskiego, lecz przez ból własny. *Stałem oto na początku nowego, przerażającego życia.* Już nie widziałem siebie pukającego do drzwi, za którymi czekały najdroższe ręce, gotowe mnie przygarnąć. Już nie poddawałem się słodkozwodnym marzeniom jak w pierwszej chwili, gdy umilkły działa. Za tą stodołą zaczynał się nowy, gorzki świat, świat niewoli. Przymknąłem oczy, chcąc uciec w sen i wtedy właśnie usłyszałem wzmożony ruch na dworze. Podniosłem się.

Był najwyższy czas. Okazało się, że Noga powydzielał już ludziom kawę, do niej garść sypkiego cukru i kostkę kawy słodzonej z zapasów — ostatni fasunek. Naglono nawet, gdyż trzeba było pójść pod dowództwo garnizonu, gdzie miało się odbyć zdanie broni. Padały nawet ostre słowa, dawno niesłyszane, władza znów stała się władzą. Starszy sierżant Stopka i inni chodzili po placu z marsem na czole, pilnując ludzi, doglądając sprzętu. Wczoraj było im wszystko jedno. Mogłeś był odejść, jeśliś chciał, dzisiaj nie. Stan ludzi i uzbrojenia musiał się zgadzać ze spisami, które leżały w dowództwie. Władze znów otrzymały *zadanie* i chciały je wykonać. Wczoraj ludzie mogli odejść, nikt ich nie powstrzymywał, władze nie znały swych zadań, żołnierz sam sobie był władzą, został zaś dlatego, że chciał pożegnać się z oddziałem, że potrzeba mu było uczuciowego zamknięcia spraw z oddziałem.

Wojna w dziewięciu dziesiątych składa się z czekania. Stoimy już od kilku godzin pod dowództwem w ten chmurny dzień. Czekamy aż odbiorą nam broń. Wywołują oddziałami. Jeszcze nie pora na nas. Odbywa się wjazd Niemców, jest to oddział motocyklistów. W gumowych płaszczach, w hełmach, w okularach, zakutani po nos wyglądają groźnie. Wzrok mają wbity w ziemię. Nie patrzą na nas. Sporo ich padło tutaj. Jeszcze długo potem w niewoli strażnicy, wskazując nas, mówili: „Das sind die Modliner. Dort ist der Karl, der Johann, der Anton, gefallen". Natomiast my przyglądamy się wjeżdżającym bez złości. Przegraliśmy i chwilowo uznajemy naszą klęskę. Oto rozlega się chłoszczący, sierżancki głos Stopki: Dywizjon! Dywizjon!! Baczność!! Przygotować się, uwaga — i już cicho — przygotować się, chłopcy do zdania broni... Wjazd Niemców trwa.

Adolf Rudnicki

RYSZARD MATUSZEWSKI

Sąd nad kampanią wrześniową*)

Sąd społeczeństwa nad przyczynami klęski wrześniowej przeszedł w latach okupacji przez dwie kolejne fazy. Przepojone goryczą refleksje, jakie dały się słyszeć bezpośrednio po porażce, żal do dowództwa i rządu, przekonanie o powszechnej zdradzie — już po niespełna roku ustąpiły na ogół miejsca uzasadnianemu klęską Francji przeświadczeniu, że popełnione błędy polityczne i wojskowe nie miały decydującego znaczenia wobec wyraźnej przewagi wroga. Wrzesień miał w opinii ogółu winowajców, ale była to głównie sprawa narodowego honoru. Rydz - Śmigły, który opuścił teren wojny, był jej typowym uosobieniem. Kwestia nieprzygotowania armii polskiej do walki, kwestia błędnej doktryny wojennej, błędnej organizacji i uzbrojenia wojska, wynikająca z dalszych błędów ogólnopaństwowych, błędnej polityki wewnętrznej i zagranicznej — był to problem coraz chętniej przez czynniki kierujące polską polityką w okresie podziemia odkładany na po wojnie, pod pretekstem unikania w czasie jej przebiegu wszelkich wewnętrznych tarć, wszystkiego, co działało na społeczeństwo w sposób załamujący jego odporność, wszelkiego „wzdrapywania ran", nad którymi, jak się to często u nas lubi powtarzać (zdanie godne doprawdy słynnego flaubertowskiego „Słownika myśli przyjętych") — „dopiero czas i przyszłość wydadzą sąd".

Dziś, mając za sobą sprawę warszawskiego powstania, będącego w dużej mierze przedłużeniem linii doświadczeń dostarczonych nam przez historię we wrześniu 1939 r., wiemy, że owo, patriotycznymi racjami uzasadniane powściąganie tendencji krytyczno-rewizjonistycznych, było także często przedłużaniem linii błędów. Brak rozpowszechnionej w społeczeństwie świadomości bliższych i dalszych przyczyn szybkiego załamania się naszej obrony we wrześniu, zemścił się po pięciu latach inną, niepozbawioną polityczno - wojskowych analogii tragedią. Mamy jedną rację więcej, by umieć cenić wagę rozumowania zimno i bezlitośnie, ale jasno, naocznie i bez reszty, analizującego całokształt i wykazującego istotny sens kampanii wrześniowej.

Gdzie leżały źródła naszej niemocy? Rzeczy to na pozór znane, wałkowane od siedmiu lat przez uczestników klęski, niczem przez nieustający sejm domorosłych strategów: chaos, brak samolotów brak amunicji, brak, motoryzacji. Niedostateczność naszej wiedzy o wrześniu polega na tym, że nasze osobiste doświadczenia były nawet w uogólnieniach fragmentaryczne. Rzadko układały się w system podbudowany fachową wiedzą, a nie improwizacją. Rzadko fachowa wiedza troszczyła się o ukoronowanie swych kompetencyj wnioskami natury ogólniejszej, bez czego jest jedynie zbiorem bezdusznych prawideł technicznych.

Duże studium strategiczno - polityczne płk. Jerzego Kirchmayera o przebiegu walki z najazdem niemieckim w 1939 r. ma ten właśnie rzadki walor książki wojskowego fachowca, który wie, że oklepane — jak stwierdza — zdanie pruskiego generała Clausewitza, iż wojna jest polityką prowadzoną innymi środkami, musi znaleść wyraz zarówno w całokształcie doktryny wojennej państwa, jak w każdym, wynikającym z niej posunięciu organizacyjnym, dotyczącym wojska i jego zadań. Krytyka kampanii wrześniowej w ujęciu płk. Kirchmayera — to nie zbiór oddzielnych trafnych spostrzeżeń, lecz zwarty system. System dlatego właśnie tak bardzo nas przekonywujący, że całkowicie zbieżny z tymi okruchami myślowych oczywistości, jakie niejeden laik, lekceważony w przedwojennym wojsku inteligent-rezoner, wbrew nieprzekonywującym zasadom, głoszonym przez jego ówczesnych przełożonych, widział w sprawach wojska i to wcześniej, nim zostały one rozświetlone łunami wrześniowych pożarów. Jeżeli nie wyciągał z nich wniosków ostatecznych, to dlatego, że ulegał presji opinii, stwarzanej przez „górę", rzekomo kompetentną. Książka Kirchmayera — to wielki triumf tego polskiego inteligenta, który tak bardzo przed wrześniem upakarzany był przez pychę zawodowych wojskowych. Triumf zasady politycznego rozumu i szacunku dla rozsądku i inteligencji, tkwiącej u podstaw organizacji każdej wielkiej armii na świecie, a łamanej u nas na różnych szczeblach życia przez system wojskowej półdyktatury: począwszy od szczebla wielkiej polityki, a kończąc na szczeblu „strzelca z cenzusem", któremu mówiono, wymagając odeń przełamania „cywilnego" myślenia, że „wojsko to nie uniwersytet".

Wojna pokazała wręcz przeciwnie każdemu, kto miał w tym względzie jakiekolwiek wątpliwości, że wojsko jest „uniwersytetem". Pokazała, że przygotowaniem wojny, prowadzeniem wojny i udziałem w wojnie rządzą te same zasady logiki, które obowiązują przy rozwiązywaniu najbardziej oderwanych zagadnień teoretycznych i najbardziej praktycznych zagadnień życia. Żadnemu wychowankowi przedwojennej podchorążówki nie zaszkodziła w kampanii wrześniowej ani później inteligencja. Nikomu nie pomogło nigdy to, że będąc żołnierzem nią pogardzał, ani nie zaszkodziło, że nawet kiedy miał tylko funkcje wykonawcze — rozumował (pod warunkiem, że dobrze!). Dużo myśleli nad tym w czasie wojny i w latach tułaczki nasi żołnierze. Dowodem tego, choćby książka Pruszyńskiego „Droga wiodła przez Narvik". Rozważania bohaterów Pruszyńskiego — to wierna fotografia tego, co przeciętny polski inteligent wyniósł z doświadczeń żołnierskich września i późniejszych. Książka płk. Kirchmayera — to synteza tych doświadczeń, pogłębiona wiedzą wojskową.

„Kampania wrześniowa" jest pierwszym dziełem wydanym w kraju i obejmującym całokształt działań wojennych, które stały się wstępem do drugiej wojny światowej i tragiczną katastrofą złudzeń, w których przez dwadzieścia lat żyła odrodzona Polska.". Tymi słowami przedmowy otwiera swoją książkę autor, sztabowy oficer przedwrześniowego Wojska Polskiego, który jako II oficer sztabu inspektoratu armii w Toruniu brał czynny udział zarówno w samej kampanii, jak i w wojskowych przygotowaniach do niej. Istniejące dotychczas prace, które płk. Kirchmayer wymienia, to studium „Kampania wrześniowa 1939 r. w Polsce" znanego generała legionowego M. Norwid-Neugebauera, wydana w r. 1941 w Londynie i krótka broszura zamordowanego przez Niemców płk. dypl. A. Horaka wydana po raz pierwszy konspiracyjnie p. t.: „Edward Rydz, generalny inspektor sił zbrojnych i naczelny wódz przed i podczas kampanii wrześniowej", a przedrukowana później kilkakrotnie, ostatnio jako „Wojna polsko-niemiecka 1939 roku*). Wartość pierwszej — zdaniem płk. Kirchmayera — nader cennej, ponieważ opiera się na wyciągach z aktów polskiego naczelnego dowództwa, oddziału operacyjnego i oddziału wywiadowczego sztabu głównego — obniża wyraźna i błędna tendencja polityczna. Gen. Norwid - Neugebauer sam nie brał udziału w wojnie 1939 r., będąc w tym czasie szefem polskiej misji wojskowej w Londynie, a poglądy swe, prócz cytowanych źródeł, oparł na 97 relacjach uczestników kampanii, oczywiście odpowiednio dobranych spośród tych, którzy znaleźli się na zachodniej emigracji. Wg. gen. Neugebauera (cyt. za płk. Kirchmayerem) „rozstrzygającym powodem katastrofy było przekroczenie przez Wojsko radzieckie granicy polskiej w dniu 17 września, w tym bowiem dniu wojsko niemieckie miało jakoby utracić swój rozpęd i strona polska mogła opanować położenie". Oczywiście każdy szary uczestnik kampanii wrześniowej może ocenić wartość tego rodzaju tendencji, konfrontując ją choćby z własnymi doświadczeniami. Praca płk. Horaka, cenna — jak podkreśla płk. Kirchmayer — i ze względu na źródła (prowadzone przez płk. Horaka archiwum konspiracyjne) i na słuszny tok rozumowania i krytyki, jest — trzeba stwierdzić — choćby ze względu na swą objętość (nieco ponad arkusz druku) zaledwie zarysem obrazu, jaki daje nam studium płk. Kirchmayera.

Jakiż jest w najogólniejszym zarysie wojskowy i polityczny sens dzieła o kampanii wrześniowej? Układ książki możnaby nazwać „rozkwitającym": od części pierwszej, obejmującej charakterystykę wojska polskiego i niemieckiego w przede dniu wojny oraz polskiego i niemieckiego planu wojny, poprzez szczegółową analizę wrześniowych działań wojennych w części drugiej — prowadzi do wojskowych i politycznych wniosków: „Przyczyn klęski" (część trzecia). Nie ma się co łudzić. Jest rzeczą oczywistą i wynika z książki Kirchmayera niezbicie, tak jak wynika z prostej tabeli statystycznej, zestawiającej liczbę ludności i wartość produkcji przemysłowej Polski, Niemiec i Rosji, że uniknięcie żadnego z popełnionych przez nas błędów wojskowych oraz wszystkich — prócz jednego! — błędów politycznych, nie uratowałoby nas od klęski.

Tym jedynym błędem politycznym obalającym cały rachunek, była nasza polityka zagraniczna, której zasadę, zasadę „stałej chwiejnej równowagi między Niemcami a Rosją" w ujęciu wydanej na emigracji Białej Księgi Kirchmayer cytuje.

„Trudno zrozumieć — pisze — w jaki sposób sanacyjni politycy mogli sobie przywłaszczyć angielską „balance of power" i przeszczepić ją na polskie „wydmuchowo" (str. 257). „Gdziekolwiek i kiedykolwiek będzie mowa o błyskawicznej, ogromnej klęsce, którą ponieśliśmy we wrześniu, pamiętajmy, że była ona bezpośrednim następstwem podstawowego błędu politycznego, w którym grzęźliśmy przez 20 lat odzyskanej niepodległości. Nazwijmy ten błąd fantastycznym planem poszukiwania równowagi pomiędzy ZSRR a Niemcami".

Ten ostateczny wniosek nie tłumaczy jednak klęski w szczegółach, nie tłumaczy szybkiego załamania wojskowego i dlatego po podkreśleniu tej końcowej konsekwencji wywodów autora, musimy się cofnąć i rzucić okiem na ich poprzednie stadium. Ograniczając się zrazu do analizy tylko czynników wojskowych przy danych warunkach gospodarczych i politycznych — płk. Kirchmayer atakuje przede wszystkim źródło innych błędów militarnych: **manowce polskiej myśli wojskowej.**

Skąd zrodziła się gdzie powstała, na czym była oparta teoria, której trzymało się polskie dowództwo w r. 1939? Autor stwierdza: rozstrzygający wpływ na kształtowanie się polskiej doktryny wojennej miała ta kampania, w której naczelni nasi wodzowie — marszałek Piłsudski i Rydz - Śmigły zdobyli swe „operacyjne ostrogi": wojna z ZSRR w latach 1919 — 1920. Panuje u nas dość powszechne przekonanie, że z tej wojny, to-

*) Jerzy Kirchmayer płk. dypl. „Kampania wrześniowa". Spółdz. Wyd. „Czytelnik" 1946. Str. 270.

*) „Czytelnik" bibl. społ. pol. Nr. 6, Kwiecień 1945 r.

czonej w zupełnie specyficznych warunkach, mogły się zrodzić tylko błędne wyobrażenia o walce, którą przyszło nam toczyć w 20 lat później. Książka Kirchmayera poucza nas, że przekonanie to nie jest słuszne. Z wojny 1919 — 1920 mogliśmy się wiele nauczyć, stosując odpowiednie historyczno-polityczne poprawki. Tych poprawek u nas nie zastosowano. Oparto się na doświadczeniach fałszywych.

Jeżeli było coś pouczającego w „zagonowej" wojnie r. 1920, to tym czymś było odżycie na nowo, po bezruchu pierwszej wojny światowej, manewru operacyjnego przy użyciu dużej liczby szybkich jednostek i wykazanie nieskuteczności nadmiernie rozciągniętej obrony stałej. W naszej kampanii, Wódz naczelny, przeciwnie, — wystąpił do walki bez zorganizowanych wyższych członów dowodzenia, któreby mogły swobodnie i samodzielnie wykonywać działania operacyjne, oraz bez planu oparcia obrony o jedynie możliwą i możliwie najbardziej skróconą linię obrony. Nie mogliśmy stworzyć armii równie silnej i tak zmotoryzowanej jak niemiecka. Ale powinniśmy byli choćby kosztem ilości źle uzbrojonej kawalerii i piechoty, oraz przez likwidację niektórych jednostek kosztownych i anachronicznych (flotylla pińska!) — mieć zmotoryzowaną i zdolną do szybkich posunięć przynajmniej jedną trzecią część naszej armii. Tylko tę jedną trzecią powinniśmy byli pozostawić — mimo bolesności takiego zabiegu — na olbrzymim przedpolu Polski Zachodniej, skazanym przez nieszczęśliwą konfigurację naszych granic na oskrzydlający manewr przeważających sił niemieckich. Dwie trzecie sił winny były być skupione na linii, którą dawno przygotowany i szeroko rozpracowany plan wojny polsko - niemieckiej z góry przewidywałby jako możliwie najkrótszą i strategicznie możliwą do utrzymania linię obrony.

Linii takiej we wrześniu nie było, ani nie było takiego zgrupowania sił, ponieważ, jak powszechnie wiadomo, w chwili wybuchu wojny — Polska nie miała gotowego planu wojny z Niemcami. „Plan wojny przeciwko Niemcom mógł wypełnić życie jednego człowieka, jak niedawno jeszcze za życia Piłsudskiego, inny plan wojny wypełnił życie niemieckiego szefa sztabu generalnego, hr. Schlieffena, a pomimo to po jego odejściu okazał się dziełem niezakończonym. Ale życie Piłsudskiego było od roku 1926 wypełnione dyktaturą, a plany wojen, reorganizacja wojska, wyszkolenie dowódców, wszystko to znalazło się na marginesie owej dyktatury" — stwierdza Kirchmayer. Błędy polskiej doktryny wojennej, wysnutej z nietrafnych doświadczeń wojny polsko - rosyjskiej, splatają się nierozerwalnie z błędami polityki państwowej. Widzimy jak brak planu wojny przeciwko Niemcom, brak planowej organizacji armii wogóle, półdyktatura wojskowa w państwie i polityka zagraniczna — stapiają się w jedno, nie dają się od siebie rozdzielić.

Gdzie mowa jest o błędnych wnioskach w zakresie doktryny wojskowej, wyciągniętej z wojny lat 1919 — 1920, tam padają w książce Kirchmayera dwa wymagające wyjaśnienia terminy: „wiara we wszechmoc naczelnego wodza" i „wiara we wszechmoc dywizji piechoty". Piłsudski był przeciwnikiem planów. „W krytycznym momencie ratował położenie, wkraczając osobiście tam, gdzie ważyło się rozstrzygnięcie. Ale jego następca, który — zdaniem Kirchmayera — „organizował dowodzenie równie źle" — „w krytycznym momencie trzymał się jak najdalej od miejsca, gdzie rozstrzygały się losy kampanii". Wywodząca się od osoby Piłsudskiego i przejęta przez Śmigłego „wiara we wszechmoc naczelnego wodza" przejawiła się w uzależnieniu przezeń od siebie zbyt dużej ilości elementów dowodzenia, zbyt wielu nici, które nieszczęsnemu poplątały się w rękach. „Wiara we wszechmoc dywizji piechoty" — to pozostałość wojny toczonej małymi siłami na olbrzymich terytoriach, brak zaufania do związków większych, jak zgrupowanie armij — to przecenianie sił piechura. Wyznaczając zadanie polskim jednostkom na szeroko rozciągniętym froncie polskie dowództwo wychodziło z założenia, że tak jak w wojnie 1920 r. — dywizja bronić może odcinka 50, a nie 7—8 kilometrowego. „Charakterystyczną cechą działań polskiej dywizji piechoty było rozwodnienie sił w terenie, skutkiem czego obrona nie trzymała, a natarcie nie przebijało". Nie pomogło ćwiczenie żołnierza latami w przerastającym jego możliwości wysiłku fizycznym. Klęska wrześniowa — to smutny, mimowolny triumf cierpliwego piechura nad nieoszczędzającym go dowódcą.

Szkic Nr 9

Postępy niemieckie w Polsce

do 3.IX — do 6.IX — do 9.IX.

do 12.IX. ——→ po 12.IX.1939

(wg. artykułu płk. Glabisza - Bellona. Londyn. VII.1941 r.)

Z książki Kirchmayera wynika wyraźnie, jak każdy z rodzajów stosowanej w dziejach techniki wojennej łączy się ściśle ze strukturą polityczną państwa, jak przesunięcia w układzie sił wewnątrz i nazewnątrz państwa — musiały mieć swój odpowiednik w pracach sztabu głównego i jak go nie miały. Do jednego i tego samego prowadziły „wiara we wszechmoc naczelnego wodza" i „wiara we wszechmoc dywizji piechoty", przesuwanie oficerów ze stanowisk wojskowych na nęcące błyskotliwymi karierami i dochodami funkcje cywilne, skupienie w jednym ręku funkcji generalnego inspektora Sił Zbrojnych, Ministra Wojny, premiera i faktycznego dyktatora, zaniedbanie studiów operacyjnych na szczeblu dowodzenia dużymi jednostkami, wiara w szczęśliwą improwizację i wiara w szczęśliwą gwiazdę. Dwa fakty polityczne: zmiana wewnętrznej treści, jaką do naszej politycznej rzeczywistości wniósł traktat ryski i jakiej z biegiem lat, w miarę przemian zachodzących wewnątrz Związku Radzieckiego nabrał, oraz nowa treść, jaką dla rozwoju naszej siły zbrojnej powinny były mieć dwie daty przełomowe: rok 1925, rok Locarna i rok 1933, rok dojścia do władzy Hitlera — nie znalazły w naszej pracy wojskowej odbicia. W roku 1925 zachwiała się podstawa, na której Polska opierała swe dotychczasowe strategiczne nadzieje — sojusz z Francją — i od tego roku winniśmy się byli stale i systematycznie przygotowywać do wojny obronnej przeciwko Niemcom. Rok 1933 był ostatnim dzwonkiem alarmowym, nawołującym do tych przygotowań.

W świetle analizy płk. Kirchmayera jak drogowskazy brzmią jego wnioski ostateczne:

— „ponieważ wytworzenie siły przez nowoczesne uzbrojenie i organizację licznego wojska przekracza możliwości materiałowe Polski, pozostaje do wyboru albo zawczasu osiągnąć ścisłe współdziałanie gospodarcze i — co za tym idzie — także polityczne z innym dostatecznie potężnym organizmem, albo wyruszyć w pole z przestarzałym narzędziem wojny, czyli dać się pobić i oddać na łaskę triumfującego zwycięzcy.

— „sojusze z odległymi organizmami politycznymi, choćby to były nawet największe mocarstwa, są dla nas pod względem wojskowym bezwartościowe.

— „faszystowski czy półfaszystowski ustrój, z jakim mieliśmy u siebie do czynienia, stwarza kult nadludzki, a zabija rozum; takimi nadludźmi usiłowali być nasi naczelni wodzowie, lecz nie umieli czytać w otwartej księdze wojen".

Książka Kirchmayera jest rzadko cenną i dobrą lekcją mądrości politycznej, wspartej na fachowej wiedzy i wszechstronnej, wnikliwej analizie zjawisk, które omawia. Jest książką, której wnioski nie mogą nie zaważyć na światopoglądzie pokolenia, dla którego doświadczenie wrześniowe było pierwszym punktem zwrotnym w patrzeniu na historię własnego narodu.

Ryszard Matuszewski

ADAM RAPACKI

Po rozmowie z przyjacielem z PSL (II)

Nie wolno ukrywać: stanowisko P.S.L.-u ma ogromne znaczenie dla przebiegu i charakteru rewolucji polskiej. Ma znaczenie — mówię od razu po prostu — ujemne. Może mieć — bardzo dodatnie. Odpowiedzialność Wasza jest ogromna. Musicie o tym wiedzieć.

Jaka jest Wasza rola dziś?

Ustalmy najpierw rzecz dla oceny postępowania stronnictwa najważniejszą — czy jesteście stronnictwem świadomie demokratycznym, czy przeciwnie — świadomie kontrrewolucyjnym?

Zakładam pierwsze. Zakładam, że w swym świadomym trzonie kierowniczym jesteście stronnictwem, które chce pełnej demokracji w Polsce, które rozumie sytuację światową naszego Narodu. Gdybym musiał zakładać inaczej — szkodaby, rozmawiać.

❁

Jako stronnictwo demokratyczne popełniliście błąd zasadniczy, który zdarzył się już wielu stronnictwom demokratycznym, a nawet — ba — specjalnie, nie tylko „nawet" — socjalistycznym. Wierzcie naszemu gorzkiemu doświadczeniu. Popełniliście błąd niezrozumienia istoty rewolucji.

Demokrację, co gorsza — rewolucję demokratyczną — sprowadzacie do prawa liczby. Prawo do władzy, prawo do kształtowania życia — uzasadniacie liczbą, nie świadomością — w okresie rewolucji — kiedy świadomość, nie liczba decydują. Poszliście dlatego bezdrożem szukania liczby. Postawiliście na popularność.

W rewolucji tymczasem, a w Polsce, nieniestety, bardzo często i bez rewolucji możliwa jest tylko jedna polityka: realna, albo popularna. Obie razem — niemożliwe. Realna — to w okresie rewolucji znaczy: zgodna z nową nieuchronną rzeczywistością Popularna — znaczy — schlebiająca spóźnionej świadomości., wyrosłej ze starej, rozwianej w proch przeszłości. Wybraliście popularność, bo wierzycie w prawo liczby.

Tę decyzję powzięliście instynktownie, nieświadomie chyba odrazu. Zademonstrowaliście ją świadomie w decyzji blokowej.

Stanął przed wami wybór: wejść do zespołu kierowniczego rewolucji polskiej, tworzyć życie razem z nami i stracić ogromną część popularności, albo stanąć w łatwej roli monopolisty legalnej opozycji.

Cenę pierwszego rozwiązania ustaliliście na 75 proc. mandatów.

Mniejsza o 75 proc. Gdybyście nawet w wyborach zdobyli i 80 proc. — to co z tego? To jest siła — powiadacie. Zgoda. Ale jaka siła? Czy te 80 proc. ludzi, którzy by na Was głosowali — to jest siła Polsce dzisiaj przydatna? Czy to jest siła twórcza?

Nie. Nie macie prawa legitymować się tą siłą — bo to by była w większości siła niezdolna do tworzenia. To by była siła bezwładu. Siła oporu w ciemność.

❁

Byłoby szkodliwą ślepotą nie widzieć po waszej stronie sił twórczych i zdolnych do budowy nowej Polski. Są te siły. Macie dużo dzielnych, szczerze ludowych chłopów. Macie dużo wspaniałej, uczciwej młodzieży chłopskiej. Niestety — wśród waszych wyborców, na których się powołujecie — to jest znikoma mniejszość.

Jaka? Teraz można o tym konkretnie mówić. To będą ci, którzy nie tylko gotowi są wołać z wami „nie", ale większość tych, którzy gotowi są wraz z wami mówić „tak". Ci, którzy w waszych rękach mogą stać się siłą tworzącą w nowej Polsce. Ilu ich jest?

Oto wyniki referendum w woj. krakowskim, wyniki w waszej tradycyjnej kolebce i twierdzy ideowej:

1 pytanie — tak — 468.362, nie — 513.061
2 pytanie — tak — 703.098, nie — 278.325
3 pytanie — tak — 864.577, nie — 116.846

Co to znaczy? Pierwszy wniosek: blok rewolucyjny jest w mniejszości, tych którzy wraz z wami zawołali „nie" na pierwsze pytanie jest większość. To jest te prawdziwe nie 75 proc., ale 52 proc., na które się powołujecie. Ale tych, którzy z Wami gotowi są mówić „tak" — jest wśród nich znikoma mniejszość. Rozkład sił jest jasny: blok rewolucyjny (trzy razy „tak") — 468.362. Reakcja (dwa i trzy „nie") — 278.325 a wy (dwa razy „tak") — 234.736. Jeżeli więc odrzucimy siły antyrewolucyjne — niezdolne do decydowania o nowej Polsce, bo wrogie jej i obce — to nawet w Krakowskim wasze siły są w zespole sił twórczych w mniejszości — akurat w jednej trzeciej (PSL — 234 tys., blok 3 „tak" — 468 tys.). To jest rachunek prawidłowy.

❁

Niestety, nie chodzi o błąd Wasz w rachunku — chodzi o Wasz błąd w postawie. Chodzi o to, że się chcecie uważać za reprezentację całej opozycji i że chcecie dla całej opozycji wpływu na losy państwa, wpływu proporcjonalnego do jej liczebności.

Wiemy, że to jest błąd z punktu widzenia interesu Polski. Ale to jest wielki błąd z punktu widzenia interesów Waszego stronnictwa.

Kim jesteście jako stronnictwo w takim postawieniu sprawy?

Jesteście stronnictwem sprzecznych nadziei. Szczera ludowa część Waszych działaczy ma nadzieję, że zjedna sobie umizgiem masy oponentów, aby następnie asymilować je dla idei demokratycznej.

Liczniejsza część reakcyjna Waszych chwilowych sprzymierzeńców uważa za kłamstwo taktyczne Wasze deklaracje demokratyczne i proradzieckie (zwłaszcza te ostatnie) i wierzy, że przetrwawszy najgorsze czasy, zrzucicie we właściwej chwili maskę ochronną.

Rola stronnictwa sprzecznych nadziei jest wdzięczna — na bardzo krótką metę. Musi przyjść chwila, kiedy stronnictwo powszechnych a sprzecznych nadziei staje się stronnictwem powszechnej nieufności. Obawiam się, że ta chwila jest już bliższa, niż Wam się wydaje.

Szczególnie w okresie rewolucyjnych zmian nie można długo być polityczną siłą „do wyjaśnienia". Siła „do wyjaśnienia" w czasach decyzji, może być tylko si-

łą chwiejności i bezczynu. Jeżeli się nie wyjaśni na czas sama — muszą ją zemleć młyńskie kamienie rewolucji i kontrrewolucji.

Wyjaśnieniem najbardziej tragicznym dla Was i dla Polski — byłaby władza. Gdybyście po gruzach partyj robotniczych doszli do władzy, musielibyście zdecydować. Albo kontrrewolucja — skok w ciemność i narodowe samobójstwo, albo dalej rewolucja, tylko w samotnej walce z całą reakcją u Was i po za Wami. Tej walki nie moglibyście wygrać — bo jesteście, jako siła rewolucyjna — za słabi. Skutek byłby w końcu ten sam — kontrrewolucja, skok w ciemność, samobójstwo narodu.

Na szczęście wyjaśnienie przyjdzie wcześniej, w czasach rozstrzygnięć siły chwiejne nie dochodzą do władzy, bo nie są do niej zdolne.

*

Wielki błąd niezrozumienia rewolucyjnej prawdy dnia dzisiejszego — popełniają ci spośród Was — którzy sądzą, że kompromisem, zamgleniem prawdy, ukłonem w stronę nałogów myślenia i czucia — „asymilują" opóźnionych psychicznie.

Nie. Rewolucja jest uderzeniem rzeczywistości w stare myślenie i w stare czucie. Jest to tylko jedna słuszna polityka wychowawcza rewolucji: rozumne, spokojne, ale twarde stawianie przed oczy nieubłaganej rzeczywistości!

Tylko zrozumienie nieuchronności nowego życia zmienia starą świadomość. Każdy umizg, każde pochlebstwo, każde wygodnictwo łudzące nieistniejącym „trzecim rozwiązaniem" — może tylko utrwalić stare nałogi, choćby przytępione, może przedłużyć bierność, jeśli nie opór, musi przedłużyć rewolucję, opóźnić demokratyzację. Tę prawdziwą demokratyzację powszechną, o której marzycie, a która może być tylko owocem powszechnego zrozumienia.

Do tego celu nie prowadzi ani Wasz system „łagodzenia" prawdy, ani, niestety, znaczna część wysiłku oficjalnej propagandy — rzucającej zbyt często gotowe wnioski, bez fundamentu rozumowania. Tak się mówi do przekonanych, nie do nieufnych.

Jedno i drugie umacnia opór, szerzy niewiarę w nieuchronność zmian, niepewność i chwiejność.

*

Następny błąd, wyrosły z waszego arytmetycznego pojmowania demokracji i z pogoni za liczbą: wasz stosunek do ZSRR.

O ile rozumiem, waszą koncepcją wyjściową było: dogadać się i współpracować z ZSRR, w imieniu mas polskich.

Nie udało się. Zbyt tanio i wygodnie chcieliście zdobyć prawo przemawiania w imieniu mas. Zbyt wygodnie chcieliście zdobyć te masy opozycją wobec rządzących sił politycznych — właśnie sił szczerej współpracy ze Zw. Radzieckim i niejasnym stawianiem własnego stosunku do ZSRR.

Tak jest. Niejasnym. Wiem, że możecie przytoczyć szereg cytat z waszych przemówień i artykułów, możecie wskazać na wiele gestów. Ale tu naprawdę nie chodzi o słowa i gesty, choćby najbardziej szczere — chodzi o fakty.

A faktem jest, że ogromna część waszych zwolenników nie wierzy w wasze słowa i gesty, i właśnie dlatego jest wam przychylna,

Poprostu i szczerze — tak, czy nie?

Nie jest ważne, czy wasi przywódcy szczerze chcą współpracy ze Zw. Radzieckim. Ważne jest — że nie potrafili skupić dokoła siebie masowej siły politycznej zdolnej do szczerej współpracy.

*

Jesteście elementem niepewności.

Myślę, że po za Andersem i jego krajowymi agenturami, nie ma na świecie świadomej siły politycznej, któraby chciała już dziś w Polsce otwartego wybuchu. Wiadomo jakby się to skończyło. Dla nas byłby on samobójstwem narodowym. Dla tych, którzy pragną Polskę wygrywać — podstawieniem pod natychmiastowe bicie pionka, który ma szachować, nie bić.

Ale wiemy dobrze i my i cały świat, że są na świecie siły, które chciałyby widzieć w Polsce ognisko niepokoju i permanentnej partyzanckiej wojny domowej. Tym siłom potrzebna jest w Polsce niepewność.

Wiemy. Ale dla naszych polskich interesów niepewność jest lepsza tylko od jednego — od samobójstwa. Od wszystkiego innego jest gorsza.

Niepewność nie pozwala nam zapełnić Polakami i ożywić polskim życiem ziem zachodnich. (A o to właśnie chodzi tym, którzy postawili na Niemcy).

Niepewność utrudnia nam konieczną współpracę równych z równymi, ze Zw. Radzieckim.

Niepewność wstrzymuje od pracy ludzi, których wiedzy i rąk potrzebujemy, jak nigdy.

Niepewność zamyka drogę do kraju Polakom z zachodu.

Niepewność blokuje gospodarkę.

Niepewność zasiewa lasy partyzantką i zbiera krew bez sensu przelewaną.

Niepewność jest beznadziejną nadzieją kontrrewolucji i uporu ślepych.

Niepewność zasłania prawdę przed narodem polskim, który pod karą śmierci musi widzieć prawdę.

Nie chcecie niepewności. Żaden Polak świadomie nie może jej chcieć — a jednak jesteście potężnym elementem niepewności.

*

Musicie znaleźć wyjście.

Teoretycznie wyjścia są dwa, praktycznie — dla was, do których się zwracam — tylko jedno: stać się twórczą, rewolucyjną siłą polityczną.

Teoretyczne drugie wyjście — zadeklarować się wyraźnie jako siła kontrrewolucyjna — dla Was prawdziwych, szczerych ludowców, nie może istnieć.

Stać się twórczą, rewolucyjną siłą — co to znaczy praktycznie? To znaczy wejść do zespołu sił politycznych i społecznych, które ciągną rewolucję polską. Tak jest — wejść do bloku stronnictw demokratycznych.

To będzie pierwszy krok. Krok ważny nie dla naszej wygody wyborczej — dla wyjaśnienia. Wejście do bloku postawi was wyraźnie w realnej sytuacji dziejowej. Wasza obecna sytuacja — wybaczcie — jest nierealna, jest przeciw naturze czasów decyzji.

Wejście do bloku odetnie Was od wszystkich sił bezwładu i oporu — najbierniejszego ze wszystkich oporów, bo oporu przeciw nieuniknionej przyszłości.

Wejście do bloku wyjaśni wreszcie waszą sytuację wewnętrzną. Wytyczy granice między szczerością ludową, błędem i złą wolą. Udowodni nieporozumienie tym wszystkim, którzy oczekują od was tego, czego im dać nie możecie, czego im dać wam nie wolno.

Wejście do bloku da wyjaśnienie nie tylko wam — da wyjaśnienie Polsce. Rozładuje duszącą niepewność. Przed zagubionym w bezdrożach myślenia społeczeństwem postawi twardą prawdę: albo, albo. Tego nam dziś potrzeba, jak nigdy.

I najważniejsze — wzmocnicie siłę chłopów w zespole tych, którzy naprawdę tworzą. A to jest nie tylko potrzebne samym chłopom — potrzebne jest Polsce, która musi budować swą demokrację tak samo na chłopach, jak i na robotnikach, jak i na pracownikach umysłowych.

A więc blok — to jedno.

Sprawa druga — to konsekwentna praca wewnętrzna nad własnymi szeregami — aby przystąpienie do bloku sił rewolucyjnych nie było tylko powierzchowną demokracją. Trzeba będzie tłumaczyć, tłumaczyć i tłumaczyć — od podstaw — rewolucyjną prawdę dzisiejszej i demokratyczną istotę jutrzejszej Polski. Żebyście wszyscy byli siłą świadomą, bo bez świadomości nie można robić rewolucji społecznej.

Trzecia sprawa — to odbudowa rewolucyjnej jedności chłopskiej. A potem poprostu — stała, wspólna praca wszędzie gdzie się buduje Polskę Ludową.

*

Wejście do bloku — na jakich warunkach?

Znam tylko jeden warunek zasadniczy: wasze prawo do współdecydowania o losach rewolucji polskiej.

To jest warunek obustronny: obowiązuje i was i nas. Was — o tyle, że musicie być zdolni do współdecyzji — to znaczy musicie być świadomą siłą rewolucyjną.

Nas — o tyle, że musimy wam tę współdecyzję zapewnić i umożliwić.

W jakich liczbach mandatów i tek ta wasza współdecyzja ma się wyrażać — nie wiem. Nie znam się na tym. Uważam to za rzecz nawet nie drugorzędną. Za rzecz — wobec powagi sytuacji i wagi celów dziejowych i politycznych, które są przed nami — nieważną.

Rozumiem wasze ambicje, o ile są ambicjami rewolucyjnego stronnictwa chłopskiego, chcącego tworzyć życie, o ile nie są czadem popularności, ani magią astronomii wyborczej.

Ale i wy musicie zrozumieć naszą powściągliwość — jeżeli nawet odrzucić kwestię zaufania do szczerości rewolucyjnej części waszych ludzi — to pozostanie jeszcze kwestią zaufania do waszej konsekwencji politycznej, której dowodów — wybaczcie — nie złożyliście.

Musimy wszyscy mieć dobrą wolę, w sprawach drugorzędnych — o ile ją mamy w sprawie zasadniczej — w sprawie jedynie możliwej — ludowej przyszłości Polski.

*

Rozumiem dobrze — że trudności nie kończą się na kluczu partyjnym. Są trudności programowe i są trudności psychologiczne.

Macie i wy, ludowi PSLowcy, swoje oblicze programowe, które zapewne różni się od naszego. Jeżeli mówimy ze sobą — to znaczy wierzymy, że te różnice mieszczą się we wspólnym ideale nowej Polski — Polski ludowej, demokratycznej w polityce, gospodarce i kulturze, Polski na zachodnim szlaku rozwoju dziejowego.

Jeżeli staniemy do współpracy — pod tym względem nie wolno nam się różnić, ale wolno nam się różnić pod pozostałymi względami.

W każdym razie — jeżeli macie swój program demokracji w Polsce — to łatwiej wam będzie napewno walczyć o ten program w zespole rewolucyjnych sił tworzących — niż po za nim — w chcianym, czy niechcianym przymierzu z siłami bezsensownego uporu. W tym przymierzu nie zdobędziecie żadnej demokracji, ani w ogóle niczego, prócz chaosu.

*

Główna trudność psychologiczna polega na oszołomieniu popularnością wielu spośród was. To samo najniebezpieczniejsze nieporozumienie, które wepchnęło was w ślepy zaułek — może wam barykadować jedyne wyjście.

Dużo już było o tej popularności — ale nigdy nie dosyć.

Wasza popularność jest najniebezpieczniejszą popularnością jaką kiedykolwiek cieszyło się którekolwiek stronnictwo demokratyczne. To jest poklask sił bezwładu historycznego — za bezwład polityczny.

Ogromna większość tych, którzy dzisiaj wołają z Wami „nie" — nie zawołają z Wami „tak". Widzą w was tylko barykadę — która po walce staje się kupą rupieci do wywiezienia za miasto.

To nie są wasi sprzymierzeńcy — to są wrogowie, bo wrogiem jest każdy, kto sprzyja waszemu uporowi przeciw historii, a stanie pierwszy przeciw wam, kiedy spróbujecie ruszyć naprzód.

Musicie się otrząsnąć z sił bezwładu historycznego, które do was lgną — bo one nie dają wam ani mocy, ani prawa do tworzenia nowej Polski.

I obronić się musicie od jeszcze jednej kategorii bardzo niebezpiecznych przyjaciół.

Myślę, że dobrze rozumiecie cele skwapliwej obrony waszego stronnictwa i prawdziwy sens słów ciepłej zachęty udzielonych wam przez pewnych zagranicznych „życzliwych".

Nie łudzicie się chyba, że to jest trwała przyjaźń i obrona.

Staliście się, niechcący, nadzieją kontrrewolucji polskiej. Ale niestety — i stawką tych pozapolskich sił, które chcą w Polsce niepewności i niepokoju. Do czasu oczywiście Do czasu zakończenia wojny nerwów i do ubicia targu. Do tego czasu chcą was widzieć w opozycji, bo wasza opozycja opóźnia spokój i normalizację, bo utrudnia współpracę ze Zw. Radzieckim, bo może osłabić nasz jednolity front w obronie polskich ziem zachodnich, bo wreszcie niepewność w Polsce ułatwia pracę innym, świadomym siewcom niepokoju i żniwiarzom krwi polskiej — która także ma swoją cenę na politycznej giełdzie świata.

Nie tylko chodzi o poparcie was bezpośrednio. Chodzi o to, że każde poparcie stamtąd — kompromituje was tu. Podrywa zaufanie do was w Zw. Radzieckim. Utrudnia wam dogadanie się z nami. Czyni was niezdolnymi do twórczego działania politycznego — skazuje was na opozycję i dalsze sianie niepewności i rozterki.

Nie. I ta popularność nie daje siły ani prawa do tworzenia nowej Polski.

*

„Czuwajcie, abyście nie weszli w pokusę". Nie ma gorszej pokusy od pokus popularności i wygody powszechnego pochlebstwa w chwilach wielkich decyzyj. Wielkie dezycje nie mogą być nigdy wygodne. Wygoda czeka w cieniu obok drogi. Ktoby szukał wygody w pośrodku wielkiej drogi — zginie pod rozpędzonym wozem historii, którego i tak nie zatrzyma.

Adam Rapacki

ANNA KAMIEŃSKA

Szopen na bruku

Byliśmy głusi długo. Choć kto nawet
zbudował zarys muzycznych domów,
schodów rozpinał przełęcz lekką —
gruzy melodii sypały się zewsząd,
powietrze stargane, w strzępach głos.

Dziś Szopen słupów radiowych zmierzch odchyla.
Widać przemienione miasto:
śniegu biusty nagrobne zwiewa wiatr,
piołuny z ruin odsiewa,
betonem spętane szarpie się drzewko.

Tu kobieta kosz bułek o słup opiera,
chłopiec kręci się jak fryga.
O, nie dla słuchaczy siedzących bez ruchu
z głową przegiętą wstecz —

to, co w muzyce prze ku górze,
obala i roztrąca,
skupia
rządzi —

co w muzyce wzmaga się,
działa, czyni —
nie dla tych,
którym marzenie kaleczy dłoń.

Bełkę niesie robotnik zza rogu,
kasjerki wracają dziobiąc krokiem bruk.
Wszystko to małżonków uwagę
w zgodny wykrzywia grymas.

Nagle począwszy od rogu ulicy
zakwita ciemność i kwiatem się szerzy.

Puszczą się srebrne po rynnach strumyczki,
bryzną potoki — kupcowa z bułkami
ostrożnie koszyk swój wyżej poniesie,
a chłopiec z śmiechem czuprynę nadstawia.

A ten, co tęskni do ludzi, samotny,
czy tylko smutny, spluwa płatek nieba.

STANISŁAW DĘBOWSKI

Dyskusja szkolna *)

WALKA O DOBRĄ SZKOŁĘ

Artykuł Mariusza Margala p. t. „Trzeba z żywymi naprzód iść" powinien był ukazać się już dawno. Sprawa szkoły, a zwłaszcza szkoły średniej głęboką troską przejmuje wychowawców, rodziców i młodzież. Nikomu już nie jest tajne, że na tym odcinku naszego życia zbiorowego jest źle. Nawet bardzo źle. Może stąd właśnie pochodzi to milczenie — tak bardzo charakterystyczne dla naszego dobrego serca, gdy chodzi o ciężkie choroby. Tym większa jest zasługa autora i Redakcji, że się odważyli.

Pragnę z tej okazji skorzystać. (Temat nie jest mi obcy, gdyż sam byłem nauczycielem polonistyki w szkole średniej, kilka osób z mojej rodziny od lat wielu pracuje w tym zawodzie, a ponadto „przeprowadziłem" już dwoje dzieci przez szkołę średnią i mam ciągle kontakty z nauczycielstwem).

W szkole średniej nigdy nie było za dobrze, a dziś jest zdecydowanie źle. Młodzież wymknęła się z rąk wychowawców i poszła dokądś, jak kiplingowski kot, własnymi drogami. I niewiadomo właściwie dokąd, bo to jest tajemnica. Tylko od czasu do czasu napisy na ścianach ustępów, gwizdy i syki na akademiach i czasem odważniejsze wypowiedzi w wypracowaniach wskazują, po jakich to dzikich szlakach wędruje dziś dusza młodzieży.

Te wszystkie obrazki, które podaje bez komentarzy Margal, są prawdziwe. Znam podobne — może jeszcze bardziej jaskrawe. Tak: są prawdziwe, ale to nie jest cała prawda. Prawda leży daleko głębiej i nie łatwo się do niej dogrzebać. A zgódźmy się przy tym na jedno: młodzieży, która od nas starszych ucieka, nie złapiemy przy pomocy milicji i nie zamkniemy na klucz. Musimy zrobić tak, by sama przyszła i sądzę, że to jest możliwe.

Pokolenie, które teraz zapełnia ławy szkół średnich jest ciężko okaleczone moralnie: zostało obrabowane przez wojnę i okupację z normalnego dzieciństwa i młodości. Stało się dorosłe, choć nie było i nie jest dojrzałe.

Doświadczyło życia, w którym nie było zawiłych i trudnych problemów, jeśli się miało odwagę i spryt. Pistolet i parę granatów dawało pewniejszą gwarancję przetrwania, niż matura.

A teraz to się nagle załamało i rozsypało w gruzy. Po bohaterskich czynach zostało tylko wspomnienie — z każdym dniem coraz bledsze i na nic nie przydatne. Trzeba wrócić na szkolną ławę, wstawać i siadać, uczyć się i odpowiadać, brać nagany i „dwóje", jakby naprawdę nie było wojny i tego wszystkiego, co się już zdążyło przeżyć.

Trudno jest wrócić do szkoły. To się przeżywa bardzo boleśnie. Tego się nie przekreśli zarządzeniem dyrekcji, na to nie pomogą represje. Młodzież musi sama wrosnąć z powrotem w szkołę — i wierzę, że to jest możliwe, — wszakże pod jednym warunkiem. Że szkoła będzie dobra.

A właśnie szkoła nie jest dobra. Szkoła jest przedwojenna. Uwiera jak stary but, z którego się już dawno wyrosło.

Szkoła powinna uczyć i wychowywać. Jeśli tylko uczy, staje się sklepikiem, w którym sprzedaje się różne wiadomości. A ponieważ wiadomości te dość daleko oderwane są od potrzeb codziennych życia, nie trzeba się dziwić, że nabywców jest tak niewielu. Dopiero gdy szkoła wychowuje, gdy kieruje wzrostem człowieczeństwa w dziecku, wiedza staje się rzeczą atrakcyjną, bo w duszy dziecka buduje się dom, który ma być zapełniony tym, co daje nauka. Szkoła nabiera sensu. W przeciwnym razie sprawa przesądza się sloganem: „Nie matura, lecz chęć szczera..."

Zobaczmy, jak szkoła uczy i wychowuje dziś.

A więc nauczanie. Wymaga ono trzech dobrych rzeczy: programu, podręcznika i nauczyciela.

Programy w szkołach średnich są na ogół przedwojenne. Zmieniono je w drobiazgach, zręby pozostały nadal. A są one złe. Grzeszą one powierzchownością i eklektyzmem. Wprowadzona jeszcze za czasów Jędrzejewicza zasada t. zw. „koncentrów" polega na kilkakrotnym przerabianiu tego samego materiału w coraz to pełniejszym ujęciu. W praktyce na każdym poziomie robi się to „po łebkach", bo na solidne opracowanie nie ma nigdy czasu. To też pomimo trzykrotnego „wałkowania" Mickiewicza nic z niego w głowie po skończeniu szkoły nie pozostaje. Chyba wrażenie nudy. Ten sposób przerabiania materiału zabija wszelkie emocje naukowe, jakby powiedział Petrażycki, a to nie jest byle co. Jedynym motorem pracy ucznia staje się stopień, czyli „ocena".

Ale przecie nie jest żadną tajemnicą, że do dobrej oceny nie zawsze dochodzi się pracą. Jest to w dużej mierze także i loteria, na której conajmniej co drugi los **musi wygrać**. To nie jest żart.

Nauczyciel nie może postawić więcej niż 20 proc. niedostatecznych ocen, bo sam wystawiłby sobie niedostateczną ocenę i w dodatku miałby dochodzenie z Kuratorium. A więc i strach przed ujemną oceną nie jest dostatecznym motorem do pracy.

A program?

Program nauki powinien sam jasno się tłumaczyć przed uczniem i nauczycielem. Tego dotąd niema. Nauka składa się z izolowanych od siebie „przedmiotów", z których każdy stanowi zamknięta dla siebie kapliczkę i jest „najważniejszy". Tak przynajmniej twierdzi każdy zainteresowany wykładowca. Gdy polonista przerabia Skargę i wiek XVII, historyk grzebie się w średniowieczu. Jak ma chłopak zrozumieć Kazania Sejmowe, kiedy jeszcze nie słyszał o sejmach?

W nauce literatury polskiej, która może i powinna stać się wykładem kultury polskiej, pokutuje jeszcze system wykładu historycznego. Zaczyna się od „Bogarodzicy", a kończy na Sienkiewiczu. A nikt nie zwrócił uwagi na ten prosty fakt, że do należytego zrozumienia i odczucia Reja, Kochanowskiego, Skargi, czy Krasickiego trzeba dochodzić, idąc wstecz od naszej dzisiejszej codzienności. Gdy się tego nie robi, uczeń powtarza dla świętego spokoju, że Rej był wielki, a Kochanowski genialny i wcale w to nie wierzy. Blaguje tak, żeby otrzymać „dostatecznie". I uczy się przy tym, że w szkole nie można mówić prawdy, że gładki frazes o „ołtarzu Ojczyzny", o „ofierze życia i krwi" o „świetlanej przyszłości" nie musi mieć pokrycia, a daje dobry stopień. Tak się urywa istotny kontakt nauczyciela i ucznia, a uczeń to przeżywa boleśnie, gdy dochodzi do przekonania, że z tymi starymi nie warto nic na serio, że się można wykpić byle czym. Narasta w ten sposób atmosfera zakłamania. Młodzież traci możność wyżycia się w szkole i szuka tej sposobności poza nią, nie zawsze szczęśliwie. Do tego jeszcze powrócimy.

Następne zagadnienie: podręczniki. Na kilka lat przed wojną dokonano radykalnego okaleczenia podręczników. Mówiło się wtedy (i słusznie) o przepracowaniu młodzieży i chciano jej ulżyć.

P długich i bezskutecznych wysiłkach zjawiły się podręczniki, „bezwstydnie krótkie", jakby powiedział Korczak. I co się okazało? Są one daleko trudniejsze od tamtych „grubych". Materiał jest w nich tak skondensowany, w rozumowaniu są takie skróty i luki, że aby je dobrze zrozumieć, trzeba uciekać się bądź do pomocy tamtych starych, lub brać korepetytora. W rezultacie pracy przybyło, a wyniki są gorsze. Dobry podręcznik powinien bowiem zawierać nie tylko ten minimalny zasób wiadomości, który jest niezbędny do przyswojenia. Musi otwierać perspektywy na marginesie głównych zagadnień, musi zastępować uczniowi podręczną biblioteczkę z danej dziedziny, bo nieraz oprócz tej jednej książki uczeń nic więcej w ręku nie ma aż do skończenia szkoły. Nie wszystko musi być „zadawane". Podręcznik może i powinien być „gruby". Dobra książka zresztą nigdy nie jest „za gruba".

Poza tym trzeba się umówić i zdecydować na jedno. Czy podręcznik ma być dla nauczyciela, czy dla ucznia. Wkraczamy w dziedzinę metodyki nauczania. Próbowano u nas metod różnych. Przed laty 20 modna była metoda heurystyczna, polegająca na tym, że nauczyciel prowadził ucznia do samodzielnego odkrywania prawd i związków między nimi przy pomocy umiejętnie stawianych pytań.

Metoda ta miała wiele zalet, ale wymagała wielkiego talentu pedagogicznego. Stosowana bezkrytycznie doprowadziła do zupełnego zaniku samodzielnego myślenia i pracy ze strony ucznia. Wystarczyło przecie tylko dobrze uważać na lekcji i odpowiadać na pytania, w których już były zawarte odpowiedzi. Przy tej metodzie podręcznik był potrzebny raczej dla nauczyciela. Metodę tę zarzucono i przeskoczono odrazu na biegun przeciwny. Najważniejsza rzecz, to „osiągi". „Osiągi" zaś to poprostu zasób wiadomości. Nauczycielowi pozostawiono wybór metody, która daje osiągi. W praktyce wróciliśmy do „zadawania do domu" i korepetytorów. Ta metoda wymaga doskonałego podręcznika.

Trzecim i najważniejszym czynnikiem w szkole jest nauczyciel. A nawet nie pojedyńczy nauczyciel, lecz zespół — grono nauczycielskie. Tylko dobre grono potrafi postawić nauczanie na właściwym poziomie. Gdy grono jest niezgrane, nieodpowiednio dobrane, jeden psuje pracę drugiego i rezultaty są nikłe.

Dziś zespoły nauczycielskie są w dużej części przypadkowe. Masowe ruchy migracyjne rzuciły nauczycieli w obce im środowiska, związały z obcymi im duchowo ludźmi i musi upłynąć jeszcze sporo czasu, zanim się każdy nauczy swego miasta i swojej szkoły. Dopiero wtedy zacznie na prawdę pracować.

Poza tym nauczyciele nie mają z czego żyć. Czyż to trzeba jeszcze raz pisać? Niestety. Tak. Nauczyciel zarabia dziś około 2000 zł., z czego trudno wyżyć. Skutki są znane. Na Ziemiach Odzyskanych spotykałem nauczycieli, którzy uciekli ze szkolnictwa, prowadzą restauracje, sklepy komisowe i nie myślą wracać do szkoły. Pozostali w niej ci, którzy szkołą żyją.

Tu i ówdzie komitety rodzicielskie usiłują nauczycielom pomagać materialnie, ale pomoc ta jest przykra, nosi charakter jałmużny, upokarza, a sprawy nie rozwiązuje.

Dodajmy do tego brak książek, czasopism fachowych, bibliotek i pomocy naukowych, a zrozumiemy, w jak trudnych warunkach pracuje dziś nauczyciel.

Tyle o nauczaniu. Pozostaje sprawa wychowania. Pracę wychowawczą prowadzi szkoła na lekcjach i poza lekcjami. Ograniczenie się tylko do godzin lekcyjnych i pozostawienie młodzieży samopas po dzwonku przekreśla z góry wszelkie usiłowania wychowawcze. Dla młodzieży szkoła musi być drugim domem, a nawet czymś więcej, bo w domu ma się tylko maleńki i ostatni kącik pomiędzy dorosłymi, a w szkole można być ze swymi.

Szkoła nie może być tylko uczelnią. Jest niebezpieczny błąd w twierdzeniu, że szkoła przygotowuje do życia. Szkoła już jest życiem młodzieży i musi je obejmować jak najbardziej wszechstronnie. Musi je organizować i pomagać młodym żyć. To są duże słowa, ale to nie są frazesy. Gdy tego niema, młodzież organizuje sobie życie na własną rękę poza domem i poza szkołą, a nie mając do kogo się zwrócić o poradę, popełnia często tragiczne błędy.

Pozalekcyjne życie szkoły musi być otoczone taką samą opieką, jak nauczanie. Musi wejść do programu. Nie może być improwizacją i zależeć od t. zw. „dobrej woli".

Wchodzą tu wszelkie organizacje uczniowskie, harcerstwo i bufiec szkolny, koła sportowe i spółdzielnia, świetlica i teatr.

Wchodzi tu także to, co by można określić nauką o Polsce współczesnej. Jest to nie tylko geografia gospodarcza. Jest to cały kompleks zagadnień, nurtujących dziś społeczeństwo, a nadających się do zapoznania z nimi młodzieży. Z jednym zastrzeżeniem. To nie może być propaganda. (Przy czym dla uniknięcia nieporozumień wyjaśniam, że pod słowem propaganda rozumiem jej popularną a wykoszlawioną postać, polegającą na wmawianiu przekonań niedostatecznie uzasadnionych dla osiągnięcia doraźnego efektu).

Młodzież jest bardzo czuła na wszelkie niedokładności w rozumowaniu i naciąganie rozumowań do z góry wiadomej tezy. Z właściwą temu wiekowi pasją szuka prawdy i niech tylko powstanie w jej umyśle cień wątpliwości — ucieka i nie przebaczy podstępu.

A odwrotnie, jeśli jest pewność, że się szuka tylko prawdy, można z młodzieżą omawiać najbardziej drażliwe i „nieodpowiednie" tematy z całkowitą gwarancją, że z jej strony nie będzie próby wyłgania się, czy też wyśmiania sprawy.

Na zakończenie jeszcze jedna sprawa. Pozaszkolne i pozadomowe rozrywki. Lektura, teatr, kino, sport. Czasem także karty i wódka. Z praktyki wiem, że nie pomogą żadne zakazy i represje charakteru policyjnego. Owszem dodadzą uroku tym zakazanym rozkoszom i coraz głębiej będą wpędzać w bagienko, z którego jakże trudne jest wyjście.

Jedyna na to rada tak zorganizować życie młodzieży, by je wypełnić bez reszty treścią lepszą. Tak było za czasów okupacji. Nie było czasu na „zabawy", żyło się bardzo serio. I do tego tęskni się i dziś. A to nie jest niewykonalne.

Młodzież pójdzie do każdego teatru i na każdy film. Czytać będzie każdą łatwą książkę. Na to nie ma rady. Trzeba więc dbać o to, by miała wybór między złym i dobrym filmem, między lichą i wartościową książką, między godziwą rozrywką, a chuligaństwem.

A twierdzę z własnego doświadczenia, że można doprowadzić do tego, iż ten wybór wypadnie dobrze. Ale o tym już trzeba pisać osobno.

Nie jestem przesadnym optymistą, ale twierdzę, że dla naszej młodzieży pracować warto i wszelki wysiłek włożony uczciwie w tę pracę nie tylko się opłaci, ale spotka się szybko z tak bezpośrednim i szczerym oddźwiękiem, jakiego na żadnym innym polu pracy człowiek się nie doczeka.

Młodzież nie jest zdemoralizowana, nie jest zgniła, — jest tylko ciężko okaleczona i bezradna. Trzeba jej pomóc żyć.

Stanisław Dębowski

*) Por. Nr. 30 i 32 „Kuźnicy".

GEBETHNER i WOLFF

Warszawa — Kraków — Łódź — Poznań — Zakopane

Rok założenia 1857

JERZY ANDRZEJEWSKI

ŁAD SERCA

zł. 280.—

Powieść, wydanie czwarte w oprawie

MARIAN RUTH-BUCZKOWSKI

WARSZAWSKI DOWCIP w WALCE

zł. 90.—

10 ilustracyj.

PIOTR CHOYNOWSKI

KUŹNIA

powieść historyczna z lat 1861-63, wyd. IV w oprawie

zł. 280.—

WŁ. ORKAN

LISTY ZE WSI

i inne pisma społeczne do druku przygotował i rozprawą wstępną poprzedził St. Pigoń, w oprawie

zł. 200.—

B. PRUS

LALKA

powieść w 3-ch tomach w oprawie

zł. 440.—

FARAON

powieść w 3-ch tomach w oprawie

zł. 400.—

W najbliższym czasie ukażą się:

Boguszewska H. — Świat po niewidomemu

Parandowski J. — Dysk olimpijski

Sienkiewicz H. — Quo vadis (2 tomy)

Tak się toczy światek

OBROŃCY CYWILIZACJI

Wojna zamordowała nie tylko miliony ludzi. Wytoczyła także z mowy narodów krew żywą. Z wieloznaczności słów martwych lub wynaturzonych przez hitlerowców, nadużytych cynicznie przez dyplomację zjednoczonego wstecznictwa korzystają dzisiaj działacze emigracji polskiej w Londynie.

Ogłoszona niedawno odezwa „Polskich Stronnictw Politycznych" powołuje się jawnie na próby mobilizacji sił międzynarodowego kapitału i „ducha", zagrożonego w swych podstawach finansowych. Walka, którą „Polskie Stronnictwa Polityczne" wypowiadają nowej Polsce ma być prowadzona pod bardzo zaszczytnymi hasłami „obrony człowieczeństwa", „obrony cywilizacji", obrony zasad „powszechnego porządku". Prawie tak, jak za czasów walk wyzwoleńczych XIX wieku: „Za waszą i naszą wolność".

Oto nowi obrońcy człowieczeństwa i cywilizacji! Starzy imperialiści, udający obrońców godności ludzkiej, politycy występujący w maskach liberalnych demokratów i socjalistów, widma z czasów sanacyjnych tęskniące do powrotu w ciała pułkowników, bankruci polityczni, cieszący się z każdego niepowodzenia nowej Polski, wrogowie ludu, nieprzyjaciele postępu.

Oto nowi obrońcy człowieczeństwa i cywilizacji, obrońcy „zasad powszechnego porządku" — porządku kapitalistycznego.

W odezwie swojej nie zapominają „obrońcy cywilizacji" o najmłodszym pokoleniu. Pragną uchronić je przed wpływami myśli postępowej, którą korzystając z wieloznaczności słów nazywają „totalizmem". Pragną, aby młodzież nasza nie płonęła czystym entuzjazmem dla sprawy Polski ludowej. Pragną uchronić ją przed wpływami wielkich tradycji demokracji polskiej. Nie Lelewel, nie Worcell, nie Waryński, nie bohaterowie walki o postęp społeczny będą rozpalali wyobraźnię i myśl młodzieży polskiej. Wystarczają jej zagończycy szlachetczyzny.

O takiej młodzieży, o takim świecie, który by najpełniej przypominał świat przedwojenny marzą emigranci polscy w Londynie. Nowa Polska wyprzedziła ich, uniosła ją wielka fala historii, oni pozostali na dawnych miejscach, w okopach świętej Trójcy, tym razem nad Tamizą. Tutaj we wspólnych uczuciach łączą się reakcyjne sfery polskie i brytyjskie. Armia Andersa jest dla nich symbolem Polski, która byłaby zaprzeczeniem Polski ludowej. Atak na pozycje ludów trwa z niesłabnącą siłą. Podczas gdy przedstawiciele kapitału zagranicznego i emigracji polskiej deklamują o wolności i człowieczeństwie, w Indiach, w Palestynie, w Grecji, padają tysiące zabitych i rannych. Może by wielkie mocarstwa Zachodu spróbowały w krajach tych przeprowadzić wolne i nieskrępowane wybory, zamiast ponawiać zamachy na suwerenność Polski? Samoloty amerykańskie, naruszające granice Jugosławii, mają, zdaje się, również służyć sprawie „pokoju i sprawiedliwości". Gdzie są granice wytrzymałości słowa?

Na żadnej z map nie znajdziecie granic cynizmu i hipokryzji! Żadnego wyrazu nie oszczędzą usta kłamstwa zbrojnego w niszczącą broń i w deprawującą władzę pieniądza!

Źle jest, gdy słowa stają się wieloznaczne, gdy poddają się każdemu zamachowi na suwerenność pojęć, gdy prawda i fałsz tak są zmieszane w dźwięku, że niepodobna ich od siebie oddzielić.

Znamy te liczmany. W umierających ustrojach skażenie natury słowa jest wyrazem butwienia moralności powszechnej.

Rozbicie atomu ma służyć kapitałowi finansowemu, ma przedłużyć nieuchronną agonię starego świata. Rozbicie słowa ma przeszkodzić porozumieniu się ludów. Oto obrona cywilizacji, obrona „powszechnego porządku".

Kandyd.

RÓGER VAILLAND

DZIWNA

Powieść Rogera Vailland „Drôle de Jeu", odznaczona w r. 1945 Nagrodą Międzysojuszniczą (Prix Interallié), ukaże się wkrótce nakładem „Czytelnika". Fragment, jaki zamieszczamy poniżej, rozgrywa się w r. 1944 na tle akcji bojowej jednego z oddziałów Ruchu Oporu, na południu Francji.

— Dlaczego Fryderyk jest komunistą? — pyta Marat.

— Dla tych samych powodów, które w innych czasach kazałyby mu wstąpić do klasztoru, dlatego że Partia ma doktrynę równie ścisłą jak dogmat i wymaga od swych członków bezwzględnej dyscypliny.

„Fryderyk boi się życia: to jest najistotniejsze, to go tłumaczy całego.

„Boi się kobiet; my, kobiety, należymy do rubasznego życia: — oto dlaczego jest prawiczkiem.

„Fryderyk nigdy nie czyta „nowości", nie zna nic z tego, co było ogłoszone po roku 1880. Zapytaj go pan o Gide'a, Claudel'a, Valery, odpowie: nie znam tego. Kiedy chce być frywolny, cytuje Petroniusza: to jeden ze sposobów wymykania się naszej epoce. Cały jego wysiłek zmierza do tego, aby się *odcieleśnić*. Oto dlaczego spośród wszelkich możliwych karier wybrał zawód nauczyciela.

„Fryderyk patrzy na siebie „z punktu widzenia Siriusa". Z tej wyżyny nie jest już Fryderykiem X, urodzonym w r. 1922 w Passy, z takich a takich rodziców, krótkowidzem, astmatykiem, o czarnych włosach, o dwudziestu dwu zębach, magistrem itd. On wymyka się określeniom konkretnym, on jest już tylko człowiekiem, człowiekiem wieczystym. Będąc człowiekiem, powinien zachowywać się tak, aby każdy inny człowiek na jego miejscu... itd. To go prowadzi do ideału sprawiedliwości społeczeństwa komunistycznego.

— To nie jest marksizm, to raczej rodzaj kantyzmu...

— Oczywiście. Walka klas odstręcza go: to jest temat, którego on unika: przeskakuje wprost do społeczeństwa bezklasowego, tego które zamierzamy urzeczywistnić. Z punktu widzenia Siriusa, jest tak jakby ono już było urzeczywistnione. Niech mu pan zacytuje słynną formułę Lenina: „komunizm to władza Sowietów plus elektryfikacja całego kraju", — uchyli dyskusję, bo co też elektryfikacja może zmienić w losie Człowieka Wiecznego?

— Ale przecież nic nie zmuszało go do wstąpienia do Partii...

— Tak, jego powołanie: powołanie bojownika. On jest urodzonym bojownikiem. Nie pamiętam już ile razy odebrał gratulacje naszego kierownika okręgowego, który przecież nie zwykł szafować komplementami. Cały swój czas, cały swój wysiłek myślowy, całą swą uwagę Fryderyk poświęca działalności partyjnej, dla siebie nie zachowuje ani jednej godziny, poświęca a priori całe swe życie osobiste. Z tym wszystkim— wymagający względem swoich podkomendnych jak względem samego siebie, popędzając ich, sekując bez ustanku... nie mogą protestować, bo on świeci przykładem. Rezultat jest siłą rzeczy wzorowy: jego grupa jest zawsze grupą przodującą, stawiają go za wzór w całym okręgu. Nie można mu nawet wytknąć odchyleń ideologicznych; jak tylko jakiś kierownik wyższej rangi, w przyjacielskiej dyskusji, poddaje krytyce któryś z jego punktów widzenia, nasz Frédé wycofuje się ze swego stanowiska: towarzysze nie bardzo to lubią, ale cóż można mu zarzucić?

„To, co go w komuniźmie urzekło, to przede wszystkim i w gruncie rzeczy dyscyplina. *Perinde ac cadaver:* najbardziej skuteczny środek ucieczki od życia... bez kalamburu.

— *Joke*)* jest niezły...

— Bo przecież życie, nieprawdaż, w swej istocie, w tym co ma najgłębiej dręczącego, da się zdefiniować jako *swoboda wyboru*...

— Ależ komunista, jeśli wyrzeka się w pewnej mierze swobody wyboru, jeśli poddaje się dyscyplinie, to jedynie dlatego, że jest ona konieczna z uwagi na celowość działania i że w obecnym stadium walki celowość powinna gorować nad wszystkim. Niemniej jednak celem ostatecznym pozostaje wolność indywidualna najbardziej całkowita. Przecież demokracji mieszczańskiej zarzucamy to właśnie, że łaskawie udziela nieposiadającemu zaledwie pozoru wolności, my walczymy o wolność... Nawet w stadium obecnym — pani wie jaką wagę przywiązują komuniści do swobody krytyki wewnątrz Partii...

— Frédé, przeciwnie, wyznaje wiarę komunistyczną, aby zmysł krytyczny móc chować pod korcem, dokonał wyboru raz na zawsze, jego sumienie jest uspokojone ostatecznie. Kiedy narzuca się jakiś problem, Frédé odwołuje się do dogmatu, niepokój może znaleźć pożywkę jedynie w interpretacji dogmatu...

— Frédé pomylił się co do drzwi: powinien był przystąpić do katolików. Znalazłby u księży to, czego szuka u nas... a czego u nas nie ma. Któregoś dnia będzie się musiał spostrzec, że się pomylił... wtedy będzie nawet mógł swe dziewictwo wystawić jako cnotę: „dziewictwo którego zapach miły jest Bogu", czytałem to gdzieś, Bóg lubi zapachy stęchlizny, to ciekawe jak wszelkie przypomnienie katolicyzmu skłania mnie natychmiast do grubiaństwa... Obawiam się, że wypadek Frédé jest typowy dla wielu intelektualistów mieszczańskich, którzy przeszli na komunizm w okresie międzywojennym, w okresie kiedy nawrócenia były modne: nawrócenia na katolicyzm albo na komunizm. „Modne", to znaczy że sprzeczności konającego świata burżuazyjnego stawały się tak dojmujące, tak nie do zniesienia, że trzeba było za wszelką cenę znaleźć jakikolwiek środek ucieczki: to był także okres narkotyków, poezji czystej, podróży naokoło świata i odrodzenia wiedzy tajemnej...

„Ale robotnik-aktywista, który budzi się pewnego pięknego ranka obarczony odpowiedzialnością za strajk, nie ulega pokusie szukania w komuniźmie sztucznego raju; on trzyma się wytyczonej linii. Na ogół ludzie typu Fryderyka wyłączają się sami; nawracają do księży, którzy chętnie wyciągają do nich ręce, księża mają słabość do odszczepieńców komunizmu..."

Na lewym brzegu Saony, a więc na brzegu gdzie znajdują się Marat i Annie, rozlegają się strzały, od strony południowej, w kierunku Etiamble. Zrazu przerzedzone, potem gęstymi zrywami, na poziomie, zdawałoby się, drogi biegnącej dołem płaskowyżu. Karabin maszynowy ujada spazmatycznie.

— Co to znaczy? — zapytuje Annie.

— Nie rozumiem. Garnizon Mâcon nie może jeszcze być w tych okolicach, nie jest nawet możliwe, aby był zaalarmowany. Z drugiej strony, zasadzka jest nieprawdopodobna; gdybyśmy byli szpiegowani, Niemcy pierwej pilnowaliby tego, aby udaremnić zamach. To, że pociąg wyleciał w powietrze — a myśmy to przecież widzieli, — dowodzi że tajemnica była zachowana. Może więc być tylko mowa o przypadkowej potyczce między niemieckim patrolem a naszą ochroną.

— Co robimy?

— Utarczka powinna być krótka, siły będące w akcji z jednej i drugiej strony nie mogą być wielkie. Nie pozostaje nam nic innego, jak spokojnie iść dalej swoją drogą. Przed świtem będziemy w lesie.

— A mówiłam: kto rękom folguje, zabawę psuje...

— — — — — — — — —

Robi się chłodno. Jest trzecia godzina nad ranem, według czasu niemieckiego, świtać zacznie dopiero za dwie godziny. Annie dygoce w swoim kostiumie.

Strzelanina, która prędko się była urwała, wszczyna się znowu nagle, ale tym razem w górę rzeki, w kierunku przeciwnym do Etiamble i o wiele bliżej Annie i Marata. Słychać także od strony drogi szum motoru. Szereg wybuchów następujących jeden po drugim: pewno granaty. Potem nagłe rozbłyski w zaroślu, której zarys odcina się w mroku, w odległości, zdawałoby się, stu zaledwie metrów.

— Zejdźmy ze ścieżki — mówi Marat.

Nie wypuszczając ręki Annie, ciągnie ją w stronę przeciwną zarośli. Biegną, potykają się w kanałach irygacyjnych, kwietniowa trawa sięga im do pasa.

Od strony drogi odzywa się pistolet automatyczny, inny mu odpowiada, jak się wydaje, od północnego krańca łąki. Urywane strzały klaskają tu i owdzie.

— Połóżmy się — mówi Marat.

Kładą się jedno obok drugiego, zarośl znika, widzą już tylko trawę, która muska im twarze, niebo księżycowej pełni przeziera skrawkami poprzez zwartą plątaninę łodyg.

— Chce mi się spać — mówi Marat.

— To byłoby najbardziej wskazane...

— Jestem skonany. Spędziłem poprzednią noc w pociągu, stojąc prawie cały czas...

Marat wydobywa z kieszonki w kamizelce tubkę i połyka kilka tabletek ortedryny. Jest to *doping*, który był szeroko używany w środowiskach Oporu i wokół którego powstała cała legenda; mówiono, że niemieckie oddziały szturmowe zażywały go przed atakiem.

— Za godzinę — mówi Marat — będę gotów wziąć udział w bitwie...

— Tego tylko brakowało.

Marat ofiaruje tabletki Annie.

— Nie, mam wstręt do narkotyków...

Długie chwile ciszy. Potem strzelanina wybucha odnowa, przesuwa się ku północy, powraca, oddala się, zamiera i ożywa.

Marat drzemie, chwilami znagła odzyskując przytomność, kiedy Annie rzuca jakąś uwagę albo kiedy wystrzał klaska w pobliżu.

— Co za idiotyczna historia — mówi Annie.

— Kompletnie idiotyczna — odpowiada Marat.

Albo:

— Mierzi mnie to wszystko — mówi Annie.

— Mnie też — odpowiada Marat.

Sprawdza godzinę na świetlistym cyferblacie zegarka. Oblicza, za ile minut zacznie skutkować ortedryna. Śledzi działanie narkotyku: zazwyczaj ulga zaczyna się od nóg, potem jak lekki powiew, który rozprasza mgły poranne, sunie ku górze, rozchodzi się stopniowo po całym ciele, odciąża wreszcie powieki, rozwiewa obłą zasłonę przytłaczającą czoło. Do tej właśnie chwili odkłada powzięcie decyzji.

— Nie będziemy mogli wiecznie leżeć w tej trawie — mówi Annie.

— Coś się musi w końcu stać — odpowiada Marat.

Przez chwilę widzi się śpiącym w trawie, z łodygą łaskoczącą mu czoło; chciałby, aby to *on* się zbudził i usunął chwast: marzy samego siebie.

Jak tylko strzelanina ustaje, łąka wydaje się pogrążona w bezbrzeżnej ciszy. Nie sposób wyobrazić sobie rannych, zabitych, ludzi na czatach...

— To nonsens — powtarza Annie.

— Kompletny nonsens.

— — — — — — — — —

Teraz, ilekroć strzelanina się wzmaga, dzieje się to bardziej na północ i detonacje wydają się coraz bardziej odległe.

Marat i Annie podjęli marsz w stronę lasu, ale posuwają się równolegle do ścieżki, poprzez wysoką trawę.

— Niechże mnie pan zrozumie — domaga się Annie — ta noc, ten tydzień, miesią-

*) Joke (ang.) — kawał (przyp. tłumacza).

POPULARNY WYKŁAD „KAPITAŁU" MARKSA

KAROL KAUTSKY

NAUKI EKONOMICZNE KAROLA MARKSA

str. 286 zł. 80.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach

„KSIĄŻKA"

Anegdoty

Kiedy umarł Wellington uczczono go uroczystym pogrzebem.

Starano się, by wypadł najwspanialej ten hołd złożony pamięci dawnego, bo sprzed 38-u laty bohatera spod Waterloo, zwycięskiego wodza armii sprzymierzonych w największej, jak się wówczas zdawało światowej wojnie z bonapartystowskim faszyzmem.

Wystosowano zaproszenia.

Jako, że zaproszeni byli ambasadorowie i posłowie zagraniczni u dworu angielskiego, u gabinetu Saint - James, jak się jeszcze do niedawna powszechnie mówiło, zaproszenienie nie ominęło — i tu zaczyna się anegdota — ambasadora francuskiego w Londynie, którym natenczas był Aleksander hr. Walewski. Ale we Francji dopiero co zamachem stanu obalona została republika a wznowione cesarstwo pod Napoleonem III. Sytuacja wydawała się niezręczna dla przedstawiciela świeżego reżimu propagującego kult napoleoński. Dodatkowo przy tym był Walewski drażliwy na punkcie swojego prestiżu i urzędu; poza tym sam był, jak wszyscy o tym wiedzieli, naturalnym synem Napoleona, co niby starannie ukrywał, czemu zawsze taktownie zaprzeczał. W tym jednym jednak wypadku, o którym dochowała się wiadomość, zdradził się: wyraźnie podniecony zapytał czy jemu jako Walewskiemu wypada wziąć udział w pogrzebie. Zapytał o radę kolegi, co już wówczas okazało się, jak wkrótce się przekonamy, — rozsądne, zapytał posła rosyjskiego.

Baron Brunnow (on to był) odpowiedział: „Mój kochany, rozumiem, że miałbyś pewne zastrzeżenia, że nie chciałbyś brać udziału w uroczystościach, gdybyśmy mieli Wellingtona wskrzeszać, ale ponieważ jesteśmy proszeni, żeby grzebać tego biednego księcia, śmiało możesz na siebie brać ciężar tej żałoby".

Anegdota zapisana w pamiętnikach lorda Malmesbury przychodziła często na pamięć za lat Drugiej Rzeczpospolitej, kiedy częste pogrzeby: Piłsudskiego, Dmowskiego, Korfantego — były manifestacjami partii. Sikorski nie idzie na pogrzeb Piłsudskiego;

Hlond nie puszcza zwłok Dmowskiego do poznańskiej katedry, Grażyński nie rzuca grudki ziemi na grób Korfantego. Rząd, który nie lubi patrzeć jak grabarze przywalają opozycjonistę kamieniem, zdradza bezsilność.

Dziś gdy prezydent KRN z Rządem staje nad grobem przywódców dawnego PSL, jednak zawsze PSL, to dzisiejszy boczący się na to, jest na pewno zdziwaczałym pogrobowcem savoir - vivre'u tamtych czasów.

Kiedy umarł Napoleon po 6-u latach internowania na wyspie Św. Heleny jakiś zapaleniec wpadł z tym jak bomba, mówiąc, że to zdarzenie... Talleyrand, (który nie lubił młodych ludzi, jako mało przytomnych i który do swoich młodych attaché ambasady mawiał: „A zatem, kiedyśmy na dzisiaj dosyć już pracowali, czekam panów rano z gotowymi raportami, przeczytanymi gazetami, świeżo ogolonych i zonanizowanych"), jak się rzekło, Talleyrand przerwał: „Przede wszystkim nic się nie stało, to nie jest zdarzenie, to jest wiadomość".

Kiedy umarł Talleyrand, który był synonimem przewidywania i chytrości, Metternich powiedział: „Ciekawy jestem dlaczego on to zrobił".

Metternich nie mógł umrzeć.

Rewolucja 1848 odsunęła go i na stare lata przyszło mu oglądać klęskę jego systemu w polityce wewnętrznej, zasad w polityce zagranicznej. Był świadkiem stopniowej dekadencji Austrii, rozwoju narodowości, doczekał się, że wbrew jego instrukcji okólnej Magenta, Mediolanem, stopniowego likwidowania okupacji austriackiej na półwyspie apenińskim, zjednoczenia Włoch przez Piemont, dalszego eliminowania Austrii z Rzeszy, zjednoczenia Niemiec przez Prusy. Doczekał się, że wbrew jego instrukcji okólnej do austriackich przedstawicieli dyplomatycznych z dnia 6.VIII.1847 — Włochy nie okazały się tylko „pojęciem geograficznym" a wbrew zapewnieniu w liście do Prokesch-

ZABAWA

tłum. Stanisław Brucz

ce, któreśmy przeżyli, są absurdalne jak koszmar, absurdalne aż do udręki. Dlaczego mam pomóc temu, a zabić tamtego? Dlaczego tamten jest moim towarzyszem, a ten moim wrogiem? Co sprawia, że nie jest odwrotnie? A wreszcie: ta oto, powiedzmy, młoda dziewczyna, którą znam i która niewiele czym różni się ode mnie,— to samo środowisko społeczne, te same studia, podobny sposób ubierania się, czesania i szminkowania — jest milicjantką*): czy sytuacja odwrotna jest naprawdę nie do pomyślenia? Chcę powiedzieć: czy jest absolutnie nie do pomyślenia, aby w roku 1941, kiedy ani jedna ani druga nie były jeszcze zaangażowane, wciągnięte, — ona, w chwili wyboru, stała się komunistką, a ja milicjantką? To, że mogę sobie zadać takie pytanie, wystarczy aby uczynić absurdalnym całe to życie, które prowadzę od dwóch lat. Pozostaje tylko krwawa zabawa, całkowicie daremna.

Marat protestuje gwałtownie. Tysiąc przyczyn świadomych lub nieświadomych złożyło się na wybór Annie; przypuścić, że mogłaby dokonać innego wyboru, to przypuścić, że mogła by urodzić się hotentotką: oczywiście, ale to już nie byłaby ona. Ten rodzaj pytań trąci „bezprawnym użyciem Czystego Rozumu".

Ale Annie się upiera. Być może, źle stawia zagadnienie, ale jej trwoga, jej uczucie niesmaku są rzeczywiste. Usiłuje je wyświetlić. Próbuje to jednego, to drugiego wyrażenia. Błądzi po omacku. Chciałaby, aby jej towarzysz pomógł jej znaleźć słowo wyzwalające.

Teraz Annie podaje w wątpliwość skuteczność Rewolucji: człowiek będzie zawsze wyzyskiwał człowieka. Jedną klasę pasożytów zastąpi druga itd.

— Uwaga — woła Marat — to co pani mówi, to woda na młyn nieprzyjaciela. Wypowiada pani właśnie jeden z jego najbardziej potężnych argumentów: jeśli w istocie August musi nastąpić po Cezarze, to poco zabijać Cezara? Cezar ma największy interes w tym, aby nas przekonać, że wszelki wysiłek w kierunku polepszenia naszej doli jest bezcelowy, że zawsze będzie jakiś Cezar. *Vanitas vanitatum et omnia vanitas:* najbardziej niezawodna z formuł poskramiania ludzi.

— W każdej wiosce francuskiej — mówi dalej Marat — ludzie dzielą się na dwie nieprzejednane partie: czerwonych i białych, lewicę i prawicę. Nie trzeba śmiać się ani ganić. Ten antagonizm dałoby się z łatwością wyśledzić poprzez całą historię człowieka. Jest pełen sensu.

I tu Marat opisuje sceny, których był świadkiem tego samego rana, na dworcu w Mâcon: opowiada, jak to policjanci zatrzymywali młodych „niepokornych" chłopów, jak to szofer przeciążonego autobusu zabawiał się w tyrana, terroryzując „swoich" podróżnych, stropionych i bezbronnych chłopków.

— Człowiek lewicy — tłumaczy — nie byłby uznał szykan policji i szofera za fatalistyczną konieczność, nieodłączną od losu podróżującego chłopa: jego pierwszym odruchem jest zawsze sprzeciw; byłby podburzył tłum, wytłumaczył mu jego prawa, *rozbudził go*, zachęcił do oporu. Człowiek lewicy to ten, który pojmuje, że, gdy podatek jest nadmiernie ciężki, można go nie płacić, podżega niesfornych i zespala ich; to ten który od wieku wieków spiskuje przeciw tyranowi.

„Człowiek prawicy, przeciwnie, głosi w imię porządku, że nie należy nic zmieniać w nieporządku istniejącym. W wypadku dzisiejszego rana byłby jeszcze dodał, że chłopi nie powinni zapominać, że należą do narodu zwyciężonych, że powinni cierpliwie znosić konsekwencje swej klęski, które, ostatecznie, są zasłużoną karą za dawne przewiny — naprzykład za to, że w roku 1936 wybrali Izbę Frontu Ludowego. Człowiek prawicy nie zapomina nigdy grzechu pierworodnego.

„Istotny, niesprowadzalny do wspólnej miary antagonizm dwu postaw objawia się we wszystkich dziedzinach.

„Człowiek lewicy wierzy w kolej żelazną, w samolot, w radio, w surowicę która poskromi nieuleczalną chorobę, w szczepionkę która przywróci młodość, w równość kobiety i mężczyzny, w porozumienie międzynarodowe, które położy kres wojnom. Człowiek lewicy wierzy w człowieka i nie zakreśla a priori granic potędze człowieka.

„Człowiek prawicy wierzy w Boga, w fatum praw ekonomicznych, w piekło, w to że syfilis jest nieuleczalny, w wieczyście kobiece, w klątwę ciążącą na narodzie żydowskim, w nieuchronność wojny, w to że zawsze będą „bogaci i biedni", że Marszałek jest godzien szacunku i że Hitler jest niepokonalny. Thiers, mówiąc o pierwszej kolei żelaznej że jest zabawką ku uciesze paryżan, o której niezadługo nikt słowem nie wspomni, zachowywał się jak typowy człowiek prawicy.

„Ach! — wykrzykuje Marat — mimo konfekcyjne krawaty radykałów, mimo binokle bywalców Domu Kultury, mimo małostkowości, plotki, drobne zawiści, mimo fatalną przeciętność tych, którzy zawsze musieli „liczyć" ponieważ byli biedni, jakże się czuję „człowiekiem lewicy".

— Ach! — wykrzykuje Annie — jakże „człowiek lewicy" mnie nuży! Czy panu naprawdę zależy na tym, abyśmy zrobili tysiąc i drugą rewolucję w dziejach? Czy jest pan aby pewien, że poprzednie poprawiły „dolę człowieczą"? — że robotnik pracujący przy taśmie jest szczęśliwszy od niewolnika rzymskiego, który należał do rodziny, który pracował jak mógł i kiedy mógł, i nikt nie odmierzał jego ruchów, jego oddechu...

— Znam tę śpiewkę — przerywa Marat — „psy strażnicze" klas posiadających puszczają ją w obieg, ilekroć groźba rewolucji zawisa w powietrzu...

Marat rozwodzi się szerzej na ten temat. Uważa, że oficjalni myśliciele reżymu z rozmysłem zdają się nie dostrzegać tego, że warunki bytu ludzkiego uległy całkowitej zmianie dzięki nowym postępom techniki. Elektryczność po maszynie parowej pomnaża w nieskończoność możliwości produkcji: oto punkt kapitalny. Dotąd czynnikiem warunkującym stosunki ludzkie było ubóstwo, walka o posiadanie rzadkich bogactw rządziła doborem władców, pokonani przerzucali swe pragnienia w zaświaty, uciekali się do Boga. Obfitość przekreśli większość „problemów odwiecznych". Nie jesteśmy nawet zdolni wyobrazić sobie, czym będzie człowiek jutra, człowiek nie napiętnowany znamieniem ubóstwa. Ludzkość wchodzi w nową erę, znajdujemy się na przełomowym zakręcie historii.

— Biedacy — mówi Marat — są źli, podstępni i zepsuci. Biedak jest brudny. Głód czyni okrutnym. Aztecy znali tylko jedną uprawę: uprawę kukurydzy; psychoza głodu — który był nieunikniony ilekroć zbiory były niedostateczne — zrodziła całopalenia ludzkie i samookaleczanie się: cywilizację zgrozy. Nie będziemy mniej odrażający w oczach człowieka z roku 2044, człowieka ery obfitości. Nasze okrucieństwo, nasza głupota, nasze niechlujstwo, nasze zabobony będą go wprawiały w osłupienie. Nasze obrzędy będą go zdumiewały: myślę, naprzykład, o Churchillu i Roosevelcie, szafarzach dwu gigantycznych imperiów i wodzach bardzo konkretnej wojny, stojących z obnażoną głową na pokładzie *Potomac'u* i śpiewających nie na żarty stare protestanckie kantyczki.

Równolegle Marat myśli:

„Jesteśmy sami w sercu nocy, w szczerym polu. Przed chwilą trzymałem jej rękę w mojej. Prawię jej o cywilizacji Azteków i o człowieku z r. 2044, to szczyt śmieszności... Czy Annie jest prawiczką? Mam wrażenie że nie, musiała sypiać z tym studentem medycyny, z którym „przestawała" zanim poznała Fryderyka... Czy spodziewała się, że zagram rolę uwodziciela, że przypuszczę atak? W pewnych chwilach tej nocy wydawało mi się, że tak... Jej twarz mnie nie podnieca, delikatne rysy nie rozgrzewają zmysłów, jej wargi są za cienkie... ale chciałbym dotknąć jej piersi... Zapuściłem się na inny tor; mam teraz ochotę wypowiedzieć szereg rzeczy, ortedryna działa w pełni, ona podnosi ogólny tonus, ale można jej efekt nastawić dowolnie na tę czy inną sferę — wysiłku mięśniowego lub wysiłku intelektualnego itd... włączyłem go w obwód wymowy... Swetr ściślej opina piersi niż jedwabna bluzka, a jednak powoduje efekt mniej drażniący, nie ma tego wrażenia ocierania się prężnej sutki o materię nieco chropawą..."

Ten wątek myśli biegnie równolegle do słów wypowiadanych, zanikając częstokroć jak strumień kryjący się pod piasek, wychylając się znowu skoro tylko słabnie napięcie dyskusji. Annie ze swej strony śledzi przemowę Marata i w pewnej chwili wtrąca:

— Powiedzmy. Ale poco dodawać krwi do ogromu krwi już wylanej? Poczekajmy spokojnie aż nowa technika stworzy obfitość, która powoła do życia nowego człowieka...

— Nie ma historycznego fatum — odpowiada Marat. — Nie trzeba sądzić, że z kryzysów kapitalizmu musi się siłą rzeczy wylęgnąć państwo socjalistyczne. Potok wytwarza elektryczność wtedy tylko, kiedy go człowiek do tego zmusza. Kapitaliści mają w swym ręku wszystkie narzędzia obfitości, a używają ich do wywoływania wojen. Czy można zatem mówić o nieodmiennej konieczności wojny? To byłoby również fałszywe. Po raz pierwszy w swych dziejach człowiek ma w ręku możność zrealizowania swego szczęścia. Ale trzeba, aby je zrealizował. A możemy przegrać, jeśli będziemy nieudolni albo gnuśni...

„W czerwcu 1936 odwiedziłem pracowników „Louvre'u"*), którzy „okupowali" swój magazyn. To byli ludzie zbaraniali z radości. I wcale nie na myśl o płatnych urlopach czy podwyżce gaż. Ale niesłychany akt odwagi, jakiego wówczas dokonali (proszę sobie wyobrazić, co to dla „subiekta" strajk z okupacją zakładu pracy), pozwalał im dojrzeć po raz pierwszy, że porządek rzeczy, który zmuszał ich przez całe życie do całodziennej orki za śmieszną płacę, który kazał im dygotać przed kierownikiem działu itd., nie był porządkiem jedynie możliwym, że było w ich mocy zmienić go, że i oni mieli prawo spodziewać się *szczęścia*. Odkryli właśnie *możliwość szczęścia* i byli tym odkryciem jakby pijani. „Republika francuska oświadcza wobec całego świata, że szczęście jest możliwe" wyrzekł (mniej więcej) Saint-Just z wysokości trybuny Konwentu. „Szczęście jest możliwe" — oto hasło wszystkich rewolucyj, najbardziej potężny materiał wybuchowy, jaki kiedykolwiek wynaleziono...

Marata przenika dreszcz: to chłód przedświtu, ale także odrobina gorączki. Spór zniewolił go do podjęcia pasjonującej rewizji, widzi się wrażliwym i nerwowym, słowa przybiegają doń skwapliwie, osiągnął ów stopień rozżarzenia, kiedy wymowa nabiera cech oracji.

— Annie — woła Marat — oświadczam pani uroczyście, że szczęście jest możliwe. Dotykamy dna nocy, jest to także kres nocy. Godziny poprzedzające świt są najbardziej przykre. Jest zimno, ma się okropny smak w ustach, smak niesmaku. Żyjemy w czasach niesmaku, w „czasach pogardy", w czasach krwi przelewanej bezsławnie, w czasach kiedy bohaterowie giną w plugawych miejscach, pod wtór rynsztokowych wyzwisk, policzkowani i kopani w krzyże. Ale nie wolno zasypiać w godzinie która poprzedza świt. Ci, którzy będą mieli przespaną noc hańby, nie zaznają dnia chwały...

Roger Vailland

*) Mowa nie o muzeum, lecz o domie towarowym, noszącym tę samą nazwę. (przyp. tłum.)

historyczne

Ostena z 19.XI.1849 znów Niemcy nie okazały się tylko „pojęciem geograficznym".

A przecież nikt nie przypuszczał, że ten Kanclerz Dworu i Cesarstwa będzie żył tak długo. Nawet Talleyrand (który był synonimem przewidywania i chytrości). Ponieważ Talleyrand jeszcze w 1831 roku tłumaczył Metternichowi, żeby jednak na schyłku życia pomyślał o nieśmiertelności, wystąpił z jakąś w wielkim stylu wspaniałomyślną inicjatywą np. ze wskrzeszeniem Polski. Ale Talleyrand się przeliczył. Sam umarł po 6-ciu latach, gdy Metternich żył jeszcze lat 28 i zmarł w 83-im roku życia.

— Cóż robił przez tyle lat?

— Cierpiał na chorobę utraconej władzy. (Termin jest wynalazkiem Sainte - Beuve'a). Poza tym oczywiście cierpiał ze starości.

— Jakiż przebieg miała pierwsza z tych chorób?

— W każdym razie bardzo nieprzyjemny. Pacjent po utracie władzy długo nie mógł przyjść do siebie. „Był wciąż jeszcze rozgoraczkowany, choć już bez powodu". Szanujący się polityk gdy traci wpływy, najlepiej robi, gdy zaczyna podróżować. Clemenceau jeździł oglądać tygrysy, Churchill jeździł wygłaszając charakterystyczne dla takich stanów niezrównoważone przemówienia. Znakomity psycholog współczesny Piaget w genewskiej Szkole Studiów Międzynarodowych uczył, że starsi panowie zniosą wszystko — jednego nie darują: kiedy publicznie dać im odczuć, że się ich nie traktuje poważnie. To zupełnie tak samo jakby młodych nie atakować tylko przemilczać, nie zauważać, ale odnosić się do nich wcale życzliwie; tym samym jakby się nie podejrzewało, że mają coś do powiedzenia. W naszym życiu politycznym nie stosuje się tego sposobu, o którym wiemy z wykładów uczonego, który był przewodniczącym komisji wychowania dawnej Ligi Narodów.

Otóż Metternich po stracie władzy wyjechał z Wiednia, wyjechał wczesną wiosną. Była to Wiosna Ludów. Znalazł się w Londynie. Stamtąd ten stary, jak to za chwilę sprawdzimy, reakcjonista, pisał 28.V.1848 r. do swej córki Leontyny:

„Zdarza się wciąż prawie, iż jestem poznawanym, otaczają mnie wówczas, idą za mną i mówca jakiś zwraca się do mnie w słowach, które zawierają zawsze zapewnienie powszechnej życzliwości i hołdy osobiste, na co nie potrafię odpowiedzieć, chyba kilkoma tymi wyrazami: I thank you sincerely.

Dziewięć razy na dziesięć nie znam tych moich przyjaciół, lecz pewne jest to, iż nie są to liberałowie z Uniwersytetu Wiedeńskiego, ani Polacy, czy profesorowie angielscy. Polacy tutaj są dziś bardzo nisko w opinii publicznej".

Gdy powrócił z tej podróży, niemniej pozostał emigrantem. Nie tylko politycznym, bo z latami coraz bardziej emigrantem z życia. Wtedy (1856) zapisywał: „Żyję, lecz jestem z liczby umarłych", albo: „Umarłem, lecz jestem z liczby umarłych, w których jeszcze wibrują nerwy, a prawdziwe odczucia jeśli odzywają się jeszcze, to za sprawą środków, które w określeń innych niedostatku nazwę: galwanizującymi".

— Że i demokrata la Fayette umarł za późno, że i demokrata Wiktor Hugo powiedział: „Już nic nie widzę, staje się ślepy jak tamci".

— Któż to „tamci"?

Milton i Homer.

Wszystko to bardzo pięknie, lecz ile lat ma wówczas Wiktor Hugo?

— 54 i umrze za lat 31.

Medice, cura te ipsum. Tak jest. Zasadę: mundus vult decipi — wielki dyplomata stosuje z zadziwiającą prostotą i do siebie.

MANZIO

*) Mowa o faszystowskiej milicji Lavala-Darnanda, która była organem wykonawczym rządu Vichy i niemieckiego okupanta. (przyp. tłumacza)

BIBLIOTECZKA POPULARNO - NAUKOWA „KSIĄŻKI"

1. ZAJĄCZKOWSKI .	Dzieje zakonu krzyżackiego	zł. 40,–
2. LANGEWIN . . .	Era przemian	„ 15,–
3. SUBBOTIN	Pochodzenie i wiek ziemi	„ 18,–
4. W. NIKOLSKI i N. JAKOWLEW . .	Jak ludzie nauczyli się mówić	„ 20,–

STEFAN GROT

Thomas Atkins łamie mandoliny

Tel-Aviv, w lipcu

Jagur jest, jak na stosunki palestyńskie, dużą wsią. Kibuc (kolektywne osiedle rolnicze) ma ok. 1.200 mieszkańców — mężczyzn, kobiet i dzieci. Leży u podnóża gór Karmelu, na głównej szosie prowadzącej z Haify na wschód i na południe.

Wczesnym rankiem 30 czerwca mieszkańców Jaguru obudziła dziwna pobudka. Szosą jechały czołgi, ogrodami szły czołgi, przy wejściach stały czołgi. Przy czołgach stali żołnierze w czerwonych czapeczkach i stalowych hełmach, spadochroniarze i pancerniacy, Anglicy, Szkoci i Irlandczycy. W rok po wojnie Jagur znalazł się na linii frontu.

Armia brytyjska w najnowszym uzbrojeniu bojowym przyszła do palestyńskiej wsi w poszukiwaniu broni. I broń tę znalazła 350 karabinów, kilkadziesiąt lekkich i ciężkich karabinów maszynowych, moździerze, bomby, znaczne zapasy amunicji. Niektórzy dziennikarze zagraniczni z triumfem depeszowali do swoich gazet: odkryto centralny arsenał „Hagany" (żydowskiej organizacji samoobrony w Palestynie). Czynniki oficjalne brytyjskie były bardziej powściągliwe. Zdaniem ich było to zaledwie uzbrojenie jednej wsi — Jaguru. Z liczby broni wynika, że, każdy dorosły człowiek w Jagurze mógł zostać uzbrojony i mógł objąć określoną funkcję wojskową.

Jagur był tylko jednym z incydentów owych pamiętnych dni. W Jagurze aresztowano tylko 400 osób. Ogólna ilość aresztowanych w czasie całej akcji przekroczyła w całym kraju 2.000, wśród nich znani przywódcy sjonistyczni jak Czertok, Grynbaum, Remez i in. Tu i ówdzie w czasie rewizji i aresztów doszło do starć, wszędzie prawie wprowadzona została godzina policyjna, gdzieniegdzie padły ofiary w ludziach. Po 10 dniach sekretariat Wysokiego Komisarza mógł donieść z dumą: l'ordre regne en Palestine.

⁂

Dlaczego akcja brytyjska przyszła tak późno, po 3 latach walki podziemnych organizacji sjonistycznych w Palestynie? Dla-czego potężne imperium brytyjskie tak długo tolerowało terror, a nawet współpracowało z terrorystami (nawet z rewizjonistyczną organizacją wojskową Irgun Zwai Leumi)? Pytań tego rodzaju można postawić wiele. Odpowiedź na nie jest bardziej skomplikowana Faktem jest, że po tolerowaniu (niektórzy mówią nawet wspomaganiu) organizacji nielegalnych i aktów terroru przez wiele lat, po wywołaniu w kraju atmosfery niepewności i napięcia, po wykorzystaniu wszystkich tych akcji na forum międzynarodowym celem zdyskredytowania całego ruchu podziemnego sjonistów — rząd brytyjski rozpoczął wielką akcję likwidacyjną. Faktem jest, że tak samo w latach przedwojennych przez długi czas podsycano arabski ruch antysjonistyczny, przez wiele lat namawiano Arabów do rozruchów, pracowano ręka w rękę z agentami hitleryzmu i włoskiego faszyzmu (Mufti, Raszyd Ali etc.), którzy wykorzystywali antyimperialistyczną walkę Arabów dla swoich własnych celów — a po tym wszystkim rozpoczęto pacyfikację, w czasie której zmazano z powierzchni ziemi całe Bogu ducha winne wsie arabskie, rozorywano pancerkami zasiane pola, palono nędzne beduińskie namioty i murowane domki bogatszych fellachów. Owocem ówczesnej akcji **antyarabskiej** była **proarabska** i **antysjonistyczna** Biała Księga. Prawdopodobnym owocem teraźniejszej **antysjonistycznej** akcji będzie posunięcie **prosjonistyczne i antyarabskie,** a mianowicie obalenie tejże Białej Księgi i otworzenie bram Palestyny dla żydowskiej emigracji. Tak samo każdą brytyjską deklarację w sprawie Indii poprzedzały areszty i prześladowania indyjskich działaczy niepodległościowych.

Karykaturalną dialektykę faszyzmu, imperializmu i wszystkich ruchów reakcyjnych od zarania świata doskonale ujął Mussolini. Naród — mówił — trzeba traktować jak osła: w jednym ręku trzymać należy bicz, w drugim zaś marchewkę. W stosowaniu bicza i marchewki — w kolejności zależnej od doraźnych interesów imperium — Anglia oddawna stała się mistrzynią. Wielka Brytania nie chce zostać w Palestynie sam na sam z Żydami, ani sam na sam z Arabami. Każde takie tête à tête skończyć by się musiało szybką rezygnacją danego narodu z dobrodziejstw misji cywilizacyjnej anglosaskiej rasy na wschodzie. Ale czego Wielka Brytania najbardziej nie chce — to zostać sam na sam ze zjednoczonym frontem żydowsko-arabskim. Wtedy bowiem nabrzmiałe patosem i głębokim poczuciem nieziemskiej wręcz sprawiedliwości deklamacje angielskich mężów stanu o konieczności utrzymania pokoju między obu narodami, które gotowe są pożreć się wzajemnie — pękłyby jak rybi pęcherz.

Kluczem do wahadłowej polityki angielskiej na Bliskim Wschodzie — do polityki niszczenia naprzemian arabskich wsi i żydowskich kibuców — jest strategiczne położenie Palestyny. Po obiecanej ewakuacji Egiptu, popieranej zresztą ciągłymi antybrytyjskimi rozruchami nad Nilem — Palestyńska baza broniąca Suezu i drogi do Indii nabiera szczególnego znaczenia. Aby móc bazę tę utrzymać, trzeba w kraju siedzieć, aby móc w kraju siedzieć dziś, w okresie rozwiniętych ruchów narodowych i dążeń niepodległościowych narodów kolonialnych, trzeba mieć moralne i polityczne usprawiedliwienie. Słowem, aby trzeci mógł korzystać, trzeba aby dwuch permanentnie się biło. Stąd raz marchewka dla Żydów, a raz dla Arabów, stąd raz bicz na Żydów, a raz na Arabów. Proste jak 1 contra 1 (Żydzi i Arabowie) = ten trzeci, Anglicy. Wypróbowane w Indiach (muzułmanie i Hindusi), w Irlandii (katolickie południe i protestancka północ) etc. Made in Britain. Copyright by Pitt, Disraeli, Chamberlain, Churchil, Attlee and Co Illimited.

⁂

U wejścia do Jaguru stoją dzieci. Na widok obcych twarzy zbierają się w kupę i z niepokojem patrzą na nas. Niedawno byli tu obcy. Zabrali wszystkich ojców i wiele matek. Po co przyszli nowi obcy ludzie?

Podwórze i wejście zapuszczone. Oprowadzająca mówi z przepraszającym uśmiechem: „Nie ma ludzi do pracy, zabrali wszystkich mężczyzn. Pozostałe kobiety muszą utrzymywać całe gospodarstwo. Nie ma czasu na porządkowanie... Rzeczywiście, na razie cała energia „kibucników" skoncentrowana jest na naprawie wyrządzonych przez wojsko szkód. Tu płot rozwalony, tam barak rozpruty, rury powyciągane z ziemi, podłogi rozkopane. Najnowocześniejsze urządzenia użyte były w rewizji: detektory min, radiowe i elektryczne aparaty.

Wszędzie też widać ślady dobrej roboty. Jagur dumny był ze swej sali jadalnej — jednej z największych i najpiękniejszych w osiedlach żydowskich Palestyny. Dziś sala ta ma rozkopane kaflowe podłogi, wybite szyby, poodrywane płaty ściany, rozwalony częściowo sufit. Elektryczne świdry „macały" tutaj grunt. Widocznie przeźroczystość szyb nie przekonała ostatecznie szukających, że nie są tam ukryte granaty. Widocznie nie wystarczało otworzyć apteczki wiszącej w sali — trzeba było kolbami zmiażdżyć ją, aby się przekonać, że nie zawiera ona nic podejrzanego.

A broń znaleziono całkiem gdzieindziej...

⁂

Mały mieszkalny domek. Trzy pokoje. Trzy rodziny. Właściwie jest to — a raczej był to — barak pokryty blachą. W lecie niedobrze mieszkać w takim baraku. Upał jest straszliwy. W zimie także niezdrowo: deszcz wpada do pokoju, zimno przejmuje do szpiku.

Tego samego zdania byli prawdopodobnie brytyjscy żołnierze. Niezdrowy dom. Coś jak warunki mieszkalne londyńskich slum'ów we wschodniej części miasta. Barak, widocznie w imię higieny, należało zniszczyć. Higienie stało się zadość. Przez długi, bardzo długi czas, nikt tam mieszkać nie będzie.

To co kiedyś było werandą pokryte jest strzępami podartej pościeli, rozsypanymi kartkami rozszarpanych książek, fantastycznie pozwijanymi szczątkami odzieży. Broni szukano tu nawet w okularach, których jedna połamana para żałośnie wygląda ze sterty rupieci — niegdyż urządzenia jednego z pokojów. Broni szukano nawet w starej mandolinie, z której pozostał jako memento jedynie groteskowo napęczniały tułów. Broni szukano w systematycznie pow poprzecinanych nożami kocach na łóżka, dartych dziennych sukienkach dla lalek, w pociętych na kawałki pasach od spodni. Broni szukano głównie w książkach, pismach, zeszytach, albumach ze zdjęciami, których setki wiatr roznosi po całym osiedlu. Możnaby pomyśleć, że rewizję przeprowadzali uczestnicy auto de fe książek w Berlinie w r. 1933.

Na Berlin 1933 —i później — wskazują jeszcze inne znaki. Niezatarte jeszcze napisy na ścianach i płotkach: „Buchenwald was not enough" — Buchenwald nie wystarczył. Dzieci z Buchenwaldu, 14 — 16-letni chłopcy i dziewczynki, nie rozumiejąc po angielsku, wpatrują się ze zdziwieniem w znajome im słowo. Dopiero niedawno przybyły — z Dachau, Mauthausen, Buchenwaldu, Bergen - Belsen. Patrzą i starają się zrozumieć. A młodsze dzieci — prawdopodobnie jak dzieci polskie w czasie okupacji — mówią z dumą: „mój ojciec aresztowany..."

A broń znaleziono gdzieindziej.

Stało się to przypadkiem. Tak przynajmniej mówią ludzie stąd. Jakiś motocykl nadział się na żelazny słupek. Słupek wyskoczył z ziemi i powstała dziwna wyrwa. Zaczęto szukać i kopać. Mangnetyczny mino-detektor drżał nerwowo. Odkopano wreszcie ukryte pod ziemią wejście do głównego składu, urządzonego w kształcie pokoju podziemnego, pełnego broni i amunicji. Znalezione trofea wystawione były na publiczny widok przez parę dni. Codziennie przywożono zagranicznych korespondentów i różnych wysoko postawionych gości i pokazywano im wojenną zdobycz. Wreszcie skarb Jego Królewskiej Mości wzbogacił się o pełne uzbrojenie jednego batalionu piechoty.

⁂

Do grupki naszej przyłącza się Cywja Lubotkin, jedna z przywódczyń powstania w ghecie warszawskim. Wraz z jeszcze jedną mieszkanką Jaguru prowadzi nas na cmentarz osiedla. Tu również szukano broni.Przy sposobności rozkopano parę grobów, zniszczono parę nagrobków. Specjalnie rozkopany został jeden grób — miejsce spoczynku trzech młodych ludzi, którzy zginęli zamordowani w czasie rozruchów w Palestynie w r. 1936. Mieszkańcy Jaguru byli szczególnie oburzeni na ten właśnie fakt. Podejrzewają oni, że Anglicy byli główną sprężyną rozruchów w latach 1936 — 39 i twierdzą, że nawet po śmierci nie chcą zamordowanym ze swego poduszczenia, dać spokoju.

Cywia Lubotkin jest zupełnie spokojna. Widziała w ghettach Polski za czasów okupacji rzeczy bardziej tragiczne i na większą skalę przeprowadzone. Tylko gdy jedna pani z naszej grupy, sympatyczka zresztą sjonizmu, zupełnie nie à propos zauważa przy wejściu do pokoju jadalnego, że „u was tu jest prawdziwa oaza spokoju" — wtedy usta naszych przewodniczek obleka delikatny, ledwo widoczny uśmieszek...

Idziemy dalej. Obok nas idą dzieci przysłuchujące się ze zdziwieniem naszej rozmowie prowadzonej w obcym dla nich języku. Nie mogą nas jakoś umiejscowić. Nie należymy do tych, co strzelali, bo przecież chodzimy spokojnie i rozmawiamy przyjaźnie z mieszkańcami Jaguru. Z drugiej strony idziemy właśnie w te miejsca, gdzie byli „tamci". Próby nawiązania roz-

ROMAN BRATNY

Spacer po pogromie

Z góry prowadzi srebrna szyna błyszczącej kropli lipcowej
— będzie deszcz, deszcz będzie padał...
k r o p l e!
Na huśtawce gwizdu wilgi chmurka blada.

Obłok w milczeniu przepływa nad przezroczystym szczytem
— są w kraju szczyty zdrowych płuc —
obłok w milczeniu... Artezyjski
obłok ma wilgoć dla ust.

Zabili ludzi. Ukamienowali ich
nędzny pochód poprzedzony przez milion
martwych chorążych, których sztandar — dym
krematoryjny.

Motyl odrywa się od szyn.
Drżą — drży nieczuła podbudowa ekonomiczna —
jedyna kropla deszczu lśni na nich blaskiem złym
— to nie jest łza. Łza się nie potoczyła.

Zatrzymali pociągi. Ludzi kamienowali,
gdy ręce wznieśli by uderzyć...
— Heil! Heil! Heil! —
Ojczyzno. Gdzieżeś?

Mordercy! Powracajcie!
Niech który złoży dłoń na szynach
a koła się potoczą i czerwone ściany
i wszystko.

Obłok w milczeniu przepływa
nad szczytem zdrowych płuc
— a krzyk nie bije w niebo

Obłok w milczeniu...
nad oczymi suchymi
— a może kropla zwilży je?

Obłok w milczeniu przepływał
nad torem kolejowym
w moim kraju
4 lipca

KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI

Epizod z czasów pokoju

W pełni żółtego dnia tramwaj staje pośrodku ulicy,
potok maszyn ładownych gruzem wstrzymuje pęd.
Wieśniak, wiozący mleko, złowił na koniec bata
ciasny postój i klnie na dzisiejsze porządki;
dziewczyna spod parasola, która na rogu sprzedaje
róże, zwinięte trąbki, teraz trzepoce na palcach,
radaby pobiec. Przekupniom szyje dłużeją z przejęcia—

Ci, co są pierwsi, widzą:
dziecko przechodzi przez jezdnię
niezdarne — ledwie jodełka, wyrosła na asfalcie,
rączką ścisza wzbierający ruch —
rączką, co jest jak po deszczu
gałąź kroplistej muzyki

mowy z dziećmi nie udają się. Gdy byli tu Brytyjczycy, wszyscy dorośli odmówili podania swych nazwisk, mówiąc, że są „ludźmi stąd". Nie chcieli oni pomóc Anglikom w identyfikacji mieszkańców, która by mogła posłużyć dla list ewidencyjnych, wykrycia nielegalnych imigrantów itd. Dzieci uczą się szybko. Na nasze pytania odpowiadają: „mieszkaniec Jaguru". Dalej ani rusz. Brak zaufania. Cóż z tego, że w tej chwili jesteśmy bez broni. Był czas — a dzieci pamiętają doskonale — kiedy żołnierze brytyjscy masowo odwiedzali kibuce i spędzali tam swoje urlopy. Niejedna przyjaźń nawiązała się w ten sposób, niejeden kontakt listowny istnieje jeszcze nadal. A potem ludzie umundurowani i uzbrojeni — ci sami czy inni, starsi nie wiedzą, czy może wiedzieć dziecko? — przyszli i niszczyli wieś. Lepiej z obcymi nie mówić.

Między nominalnymi władcami kraju, a częścią jego mieszkańców, która do niedawna uchodziła za ostoję lojalizmu i oparcia dla Wielkiej Brytanii zapadła żelazna kurtyna nieufności, niechęci, a może i nienawiści.

***

„Najbardziej raziły nas twarze żołnierzy... Zrozumieliśmy jak wyglądają ludzie w chwili gdy postępują jak wandale... Był to jakby roentgenogram początku psychicznej faszyzacji żołnierza angielskiego..." Przewodniczka nasza mówi z zadumą, powoli, jak gdyby szukając słów.

Czy żołnierz brytyjski jest faszystą? Śmieszne pytanie. Objekt tej kwestii oburzy się niesłychanie silnie na samą myśl o takim posądzeniu.

Przeciwnie. Formalnie rzecz biorąc, przeważająca większość żołnierzy to członkowie lub sympatycy organizacji demokratycznych. 80 proc. z nich oddało swe głosy na Partię Pracy. Od partii tej — a więc od obecnego rządu — spodziewali się reform społecznych, realizacji dawnych postulatów w dziedzinie mieszkaniowej czy ubezpieczeniowej. itd. Spodziewali się przedewszystkim takiej polityki zagranicznej, która by nie zmusiła ich nigdy więcej do uprawiania rzemiosła wojennego. Pamiętam jak w r. 1943, w chwili gdy sytuacja wojskowa pełna była groźnych chmur, młody chłopak z Inverness, na pytanie co sądzi o położeniu na frontach odpowiedział mi: „My się o to nie kłopoczemy. W końcu przecież wygramy tę wojnę. Ale boimy się wszyscy, że po wojnie każą nam tu siedzieć przez lata całe i pilnować porządku między Arabami a Żydami..." Młody Szkot nie bardzo się orientował w zagadnieniach politycznych, choć z zapałem mówił, że jest zwolennikiem Labour. Ale wyjechał zagranicę — nawet w czasie wojny — w przekonaniu, że misją dziejową jego, jako Brytyjczyka, jest pilnować na wszystkich krańcach świata by mieszkające tam narody nie pobiły się między sobą. Fikcję tej misji systematycznie podtrzymywano w armii brytyjskiej — tak dalece, że w obliczu toczącej się wojny, o niepewnym jeszcze dla przeciętnego widza wyniku — wojny, w której chłopiec z Inverness mógł przecież w każdej chwili stracić życie — on troszczył się głównie o to, że nie dadzą mu wrócić do domu i zmuszą go do pilnowania porządku nad Suezem. Troszczył się, uważając to zarazem za swój naturalny obowiązek.

Nie będąc więc faszystowską, a przeciwnie, w większości swej popierając ruchy demokratyczne, masa żołnierska wojska brytyjskiego, z chwilą gdy zostaje wysłana na misję zagranicą, święcie wierzy w anglosaskie posłannictwo dziejowe. W to wierzy Bob stojący na warcie w Atenach i o tym przekonany jest John, strzelający do demonstrujących Hindusów w Bombaju. Tak sobie tłumaczy swoją funkcję rozbijając w Trieście zgromadzenia i domy robotnicze Harry i w takiej roli wyobraża siebie Tommy Atkins, drący poduszki i łamiący mandoliny w Jagurze.

W tym leży jeden z sekretów powodzenia imperializmu. Odpowiednikiem postępowej w stosunkach wewnętrznych a reakcyjnej w stosunkach międzynarodowej polityki brytyjskiej — jest właśnie Tommy, klnący w Londynie na interwencję brytyjską w Grecji, a uciskający bez zażenowania grecki ruch niepodległościowy w Tesalii. Za granicami swej wyspy Anglik z miejsca czuje „the white man's burden" — obowiązek białego człowieka.. Obowiązek polegający przede wszystkim na niedopuszczeniu do głosu natives, którzy przecież w żadnym wypadku nie mogą wiedzieć co dla nich jest dobre i którym należy to wytłumaczyć przy pomocy gazów łzawiących i automatów.

Drugi sekret powodzenia imperializmu obnażyła również — oczywiście niechcący — oprowadzająca nas mieszkanka Jaguru. „Po raz pierwszy — mówiła — widzieliśmy Anglików w takiej roli... Dotychczas znaliśmy ich tylko jako dżentelmenów..." Stanąłem jak wryty. O parę kroków od Jaguru jest — a raczej była — wioska arabska. Wioskę tę w r. 1937 dosłownie zmieciono z powierzchni ziemi, podejrzewając, że ukrywają się w niej arabscy terroryści. Czyżby sąsiedzi z Jaguru tego nie zauważyli? Czyżby nie słyszeli nic o Indiach i innych koloniach brytyjskich? Zapewne słyszeli. Ale pozwolili się uśpić starą kołysanką: „Takie traktowanie, to tylko dla nich. Wam się to napewno nie przydarzy. Wy przecież to co innego."

Dla podkreślenia i zamanifestowania imperialistycznego divide et impera właśnie wojska hinduskie sprowadzono do Palestyny. W tym samym czasie, w którym Hindusi przeprowadzali krwawą rewizję w jednym z kibuców, w Kalkucie lała się pod brytyjskimi strzałami hinduska krew. Stacjonują tu również Murzyni — Basuto, z Afryki Płd. Tu pomagają oni Brytyjczykom w pacyfikowaniu kraju, podczas gdy ich bracia, mieszkańcy wielkiego imperium, mają królewski wybór umierania z głodu lub pracowania w kopalniach złota Płd. Afryki. Do tego dochodzi królewski wybór wydania 3 funtów miesięcznej płacy roboczej czarnego górnika na zarażenie się syfilisem w tanim domu publicznym lub przepicie ich w szynku utrzymywanym przez... Hindusa.

Są tu nawet, i to w armii angielskiej, Irlandczycy. Jeden z nich, major z oddziałów okupujących Jagur, powiedział dziennikarzom zagranicznym zwiedzającym osiedle: „Nie stawiajcie mi żadnych pytań politycznych. Jestem Irlandczykiem i widziałem już podobne sceny... Mówmy tylko o sprawach wojskowych..."

I na tym polega drugi, diabelski sekret imperializmu: że potrafi on każdemu narodowi z osobna wmówić, iż postępować będzie z nim po dżentelmeńsku. Że potrafi posługiwać się jednym narodem dla uciemiężenia drugiego. Że potrafi nietylko wśród różnych narodów w tym samym kraju, ale i między setkami ludów rozsianych na przestrzeni dziesiątków milionów km kw. wprowadzić żelazne kurtyny nienawiści, nieufności, szczucia wzajemnego, różnic religijnych i izolacji.

Przyjaciółko z palestyńskiego kibucu! Dopóki ty widzieć będziesz dżentelmenów w ludziach, którzy spalili sąsiednią wieś, a mieszkańcy sąsiedniej wsi z radością przypatrywać się będą ruinom twojego gospodarstwa, dopóki hinduski wartownik pilnować będzie mienia swych uciemiężycieli, murzyński szofer wozić będzie białych panów świata na poskromienie jakichś „natives", irlandzki major zechce tylko omawiać kwestie wojskowe — to znaczy znalezioną broń, a nie będzie mówił o kwestiach politycznych, to jest o podartej pościeli i poniszczonych książkach — dopóty siostro z Jaguru nie będzie szczęścia i wolności na tej ziemi.

***

Demokracje zachodnie pracują energicznie. Demokracje zachodnie pracują całą parą. W Atenach i w górnej Grecji giną codziennie demokraci. W Hiszpanii przy błogosławieństwie z Whitehallu szubienice nie odpoczywają. W Kielcach mordują Żydów, a w miastach powiatowych sekretarzy PPR, PPS czy innych partii demokratycznych. W Indiach leje się krew. W brytyjskich kopalniach nafty w Persji robotnicy strajkują o minimalne warunki życiowe. W Jagurze niszczy się wysiłek całego pokolenia.

Cóż z tego, że Wierzchowiny ma na sumieniu nielegalna banda, a Jagur jest dziełem sił zbrojnych potężnego imperium? Cóż z tego, że greckich antyfaszystów mordują bandyci z organizacji „X", a egipskich socjalistów i komunistów aresztuje legalny rząd? Przecież nie ślepy miecz jest winien temu, lecz ręka, która kieruje międzynarodową ofensywą reakcji — ręka międzynarodowych trustów i karteli, ciemnych sił monopolów handlarzy śmierci. Blok zachodni z Franco; blok wschodni z arabskimi feudałami, blok południowy z ateńską monarchią i blok północny z resztkami Wehrmachtu — ofensywa „prawdziwej", „niesfałszowanej", „wolnościowej", „antytotalitarnej" demokracji trwa...

***

Wyjeżdżamy z Jaguru. Słońce w Ziemi Obiecanej chyli się ku zachodowi. Słońce w Ziemi zanadto, zbyt często, zbyt wielu Obiecanej...

Stefan Grot

RUDOLF LESSEL

Z zagadnień sprawiedliwości międzynarodowej

Jest rzeczą bezsporną dla sumienia, że przestępcy wojenni, w najszerszym tego słowa znaczeniu — winni być osądzeni i ukarani. Powstaje jednak w związku z tym do omówienia szereg problemów prawniczych.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ GŁOWY PAŃSTWA

Dotychczasowe zwyczajowe lub umowne przepisy prawa narodów ograniczały odpowiedzialność głowy państwa (monarcha był w ogóle nieodpowiedzialny). Zwierzchnik państwa mógł odpowiadać tylko przed wewnętrzno - krajowym trybunałem za złamanie np. przepisów prawa wojny, o ile były one przez dane państwo ratyfikowane. Odpowiedzialność tego rodzaju, jak to—nie w stosunku do głowy państwa, lecz innych przestępców wojennych—udowodniły po pierwszej wojnie światowej procesy lipskie — jest niewspółmierna do winy. Słusznie twierdzi Giebułtowicz („Odpowiedzialność przestępców wojennych w świetle prawa narodów"), że przyczyną tego „nie dającą się wyeliminować z życia jest stosunek do przestępcy, który równocześnie działał na niewątpliwie subiektywną, choć może źle pojętą korzyść swego państwa". Pierwszy wyłom w tej zasadzie zwyczajowej, dokonany przez art. 227 Traktatu Wersalskiego nie stał się precedensem, został on bowiem postawiony lecz niezrealizowany.

„Mocarstwa sprzymierzone i stowarzyszone stawiają w stan publicznego oskarżenia Wilhelma II Hohenzolerna, byłego cesarza Niemiec, o najwyższą obrazę moralności międzynarodowej i świętej powagi traktatów". To brzmienie artykułu 227 Traktatu Wersalskiego — usiłujące stworzyć nową regułę prawa międzynarodowego — nie zostało przyjęte do wiadomości przez rząd holenderski, który wziął na swym terytorium pod opiekę strąconego monarchę — i wzbraniał się go wydać, opierając się na twierdzeniu, iż reguła art. 227 nie obowiązywała w chwili wybuchu wojny, a „lex retro non agit"

Mocarstwa sprzymierzone nie usiłowały rządu holenderskiego o niesłuszności tej tezy przekonać.

Aż więc do wybuchu drugiej wojny światowej, a nawet dłużej, aż do wspólnej deklaracji Stalina, Roosevelta i Churchilla o odpowiedzialności przestępców wojennych — głowa państwa nie mogła być odpowiedzialna przed Trybunałem Międzynarodowym. W sferach prawnych anglosaskich jeszcze nawet w 1945 r. pokutowały w tej materii wątpliwości. Prawnicy angielscy skłonni byli raczej zastosować wobec przywódców hitleryzmu, w powołaniu na precedens napoleoński, represję administracyjną.

Dopiero powstanie Międzynarodowego Trybunału Wojennego i ratyfikowanie jego statutu stworzyło wyraźną normę prawną — w myśl której głowa państwa odpowiada za popełnione przez siebie przestępstwa—właśnie przed tym Trybunałem. Tylko śmierć uratowała Hitlera od tej odpowiedzialności.

„WYKONAWCY POLECEŃ"

Sporną kwestią w prawie międzynarodowym, a spór ten usiłują dziś wykorzystać obrońcy Niemców, jest sprawa odpowiedzialności wykonawców poleceń, którzy do wykonywania tych poleceń byli zobowiązani — w myśl zasad dyscypliny wojskowej czy też urzędniczej. Przedstawiciele sprawiedliwości międzynarodowej stanęli na stanowisku, że wykonywanie rozkazów sprzecznych z zasadami prawa międzynarodowego, zasadami ludzkości i sumienia, jest działaniem ze złą wolą, jest świadomym działaniem na szkodę społeczności międzynarodowej. Obrona idąca po linii — „wykonywania poleceń" — jest skazana na niepowodzenie. W stosunku do wojskowych, nie wytrzymuje również krytyki argument dodatkowy, że działali w wykonywaniu swych wojennych obowiązków. Mundur żołnierza nie może chronić przestępcy. Kto powołuje się na prawo — musi sam je wykonywać. Tak brzmi angielska zasada „czystych rąk".

ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZBIOROWA ZA FASZYZM

Obok określonych jednostek odpowiedzialność za zbrodnie wojenne, za zbrodnię szczytową—ludobójstwo obciąża również organizacje, których przestępczość ma ustalić Międzynarodowy Trybunał Wojenny. Przestępczość ta będzie niewątpliwie ustalona, organizacje zostaną osądzone lecz jakżeż mogą być ukarane? Podobny problem powstaje, jeśli przyjąć zasadę odpowiedzialności faszyzmu jako ideologii czy też odpowiedzialności całego państwa. Można je osądzić — lecz jak ukarać?

W przypadku tym zastosować można podobną normę jaka jest stosowana w kodeksach karnych wewnętrznych wobec bandy, spisku, czy zmowy przestępczej. Sam fakt przynależenia do takiej bandy, spisku, czy też zmowy stanowi „dolus eventualis" (winę ewentualną) bez konieczności spełnienia „dolus directus" (winy bezpośredniej). W myśl tych właśnie przepisów odpowiadać będą członkowie organizacji przestępczych takich jak naprzykład Gestapo, SS, NSDAP i td., choćby sami bezpośrednio żadnego przestępstwa nie popełnili. Oczywiście trudniej jest wykryć ludzi, którzy nie należeli do żadnej organizacji faszystowskiej, choć zasady faszyzmu czynnie realizowali lub faszyzm popierali. Można sobie jednak wyobrazić że Trybunał Międzynarodowy osądzić mógłby w Norymberdze i sam faszyzm jako ideologię. Wtedy kara mogłaby w pewnym przynajmniej zakresie dotknąć w konkretnych wypadkach wykonawców tej ideologii. Byłaby to odpowiedzialność karna zbiorowa, podobna do odpowiedzialności zbiorowej państwa (odpowiedzialność typu aglosaskiego) różniąca się jednak od faszystowskiej odpowiedzialności zbiorowej, przy stosowaniu której miernikiem kary jest nie wina zbiorowości—lecz wina jednego z jej członków, z którymi winny może być luźno i przypadkowo związany przez rasę, narodowość, religię, lub np. zamieszkiwanie jednego domu. Stosowanie odpowiedzialności faszystowskiej jest oczywiście przestępstwem samoistnym. Odpowiedzialność zbiorowa typu anglosaskiego jest uzasadniona, ponieważ karze tylko tych, którzy żyjąc w masie przestępczej przewidywali skutki przestępcze i na nie się godzili, (dolus eventualis) a w znanych nam przypadkach — ze skutków tych nawet korzystali, jak np. ci Niemcy, którzy otrzymywali w akcji „Winterhilfe" odzież po zamordowanych w obozach koncentracyjnych, lub zrabowaną w ghettach środkowo - europejskich. W tym ostatnim i innych przypadkach odpowiedzialność może dotyczyć również i winy nieumyślnej (St. E. Rappaport — „Naród Zbrodniarz").

CZY PRAWO DZIAŁA WSTECZ?

Odrębnym zupełnie zagadnieniem jest sprawa możliwości stosowania norm karnych międzynarodowych wobec przestępstw wykonanych przed wejściem w życie tych norm. Obrońcy wojennych przestępców, jak i wielu prawników anglosaskich, uważają, iż międzynarodowe prawo karne, którego zalążkiem jest Statut Międzynarodowego Trybunału Wojennego stworzone zostało „pro futuro" (na przyszłość) gdyż prawo nie działa wstecz, a prócz tego, zbrodnie, o które oskarża się przestępców wojennych, ludobójstwo, nie było znane, ani opisane w ustawie karnej, a w konsekwencji ich sprawcy nie mogą być ukarani bowiem inna rzymska zasada prawa głosi, że „nulla poena sine lege poenali anteriori". (niema kary bez uprzedniej ustawy karnej).

W rzeczy samej wachlarz faszystowskich zbrodni był tak szeroko rozpostarty, że nie znalazł się na świecie ponury wizjoner — ustawodawca, któryby w kodeksie wewnętrznym lub międzynarodowej umowie zawarł te wszystkie przestępstwa, które zostały przez faszyzm dokonane. A jednak brak ich wyszczególnienia nie oznacza braku odpowiedniego przepisu w ogóle. Ustawodawca międzynarodowy, licząc się być może ze zmieniającymi się wciąż metodami prowadzenia wojny powiada wyraźnie w IV konwencji haskiej z 1907 r.: „Wysokie układające się strony uważają za rzecz właściwą stwierdzić, że w wypadkach nie objętych przyjętym przez nie Regulaminem mieszkańcy i strony wojujące pozostają pod ochroną i rządem zasad prawa narodów, które wynikają ze zwyczajów ustalonych między narodami cywilizowanymi, z praw ludzkości i postulatów sumienia międzynarodowego".

Pojęcie „praw ludzkości i postulatów sumienia międzynarodowego" jest tak obszerne, że nie wymaga rozszerzającej interpretacji, aby pomieścić w nim zbrodnie wojenne nieznane zwyczajom międzynarodowym, ani nie wyliczone szczegółowo w żadnej międzynarodowej konwencji. Norymberski akt oskarżenia ma specjalny rozdział o przestępstwach przeciw ludzkości, a hitlerowskie zbrodnie napewno są sprzeczne z „postulatami sumienia międzynarodowego". Twierdzenie więc, że nie może być kary, gdyż brak ustawy — jest oczywiście niezgodne z prawdą.

Ale takie postawienie sprawy nie załatwia jeszcze w pełni problemu, pozostaje bowiem wciąż zasadą: „lex retro non agit". Jest rzeczą niewątpliwą, że aczkolwiek przestępstwo było przewidziane — to nie istniała ani sankcja karna, ani procedura, ani właściwy Trybunał, czyż więc można za przestępstwa te karać? Bezwzględnie można i należy. W ten sposób sprawę rozstrzygnął w zakresie wewnętrzno - krajowym — ustawodawca polski i szereg innych ustawodawców w różnych państwach, którzy wobec przestępców wojennych, zdrajców narodu, kollaboracjonistów zastosowali ustawy i sądownictwo specjalne.

Lex retro non agit jest abstrakcyjną zasadą prawną, a abstrakcyjna zasada prawna, która powinna mieć pełne zastosowanie w okresie normalnych funkcyj społeczeństwa i państwa, nie mogła stać na przeszkodzie stosowaniu represji w obliczu narodowej katastrofy, wywołanej metodami stosowanymi przez okupanta („Zbiór przepisów specjalnych przeciwko zbrodniarzom hitlerowskim i zdrajcom narodu" dr. J. Sawicki i dr. B. Walawski). Ta teza w całej rozciągłości da się zastosować i do normalnych funkcji „społeczeństwa międzynarodowego", które zostały zachwiane — przez okupanta całej niemal Europy.

(dokończenie na str. 11-ej)

Głosy o Lelewelu

Ignacy Chrzanowski: „Joachim Lelewel" Człowiek i pisarz". Czytelnik 1946, str. 197.

Żanna Kormanowa: „Joachim Lelewel", Książka, 1946, str. 95.

Z lekcyj historii pamięć nasza o Lelewelu, przesłonięta jest „jednomyślnym sądem dziejowym" o nim, jako polityku, i nic dziwnego, że jego genialność naukowo - publicystyczna pozostaje niemal niezauważona. Janusz Iwaszkiewicz w przedmowie do „Pamiętnika z roku 1830—31" Lelewela, str. 5. pisze: „Potępili go zarówno arystokraci z ks. Czartoryskim na czele, jak i najbliżsi współpracownicy, demokraci — Mochnacki i Podczaszyński... W starczej wyobraźni Kożmiana Lelewel uchodzący na Pragę po kapitulacji Warszawy, pieszo, z tłomoczkiem na plecach, wydał się „szatanem wychodzącym z politycznego ciała Ojczyzny, którą przez dziewięć miesięcy dręczył i do najokropniejszego, jakiego dzieje nie mają przykładu, samobójstwa przywiódł".

Bardzo znamienną jest charakterystyka działalności Lelewela na emigracji przez zbliżonych doń ideowo obu Mochnackich.

Maurycy w listach do rodziców pisze: „Lelewel jest wszystkich plotek źródłem, jak i był; zamiast działać w prawdziwym interesie emigracji, on tylko zakłóca umysły; pozostaje mu tylko pycha nieznośna, humor zgryźliwy i wszystkie wady ambicji osobistej, niedość ukrytej... Ażeby zostać pierwszą osobą na emigracji, używa wszelkich sposobów, — nawet najniegodniejszych".

Ceniono jego mrówczą pracowitość i rozległą wiedzę historyczną, podziwiano śmiałość i oryginalność koncepcji naukowych, lecz sąd współczesnych o Lelewelu jako polityku był naogół ujemny. Nawet dzisiejszy entuzjastyczny jego biograf, Artur Śliwiński, surowo sądzi jego działalność polityczną w roku 1831 i nie szczędzi mu poważnych zarzutów.

Czytelnik, który weźmie do ręki jedną z dwu ostatnich książek o Lelewelu, zapozna się z sylwetką nietylko polityka, lecz i uczonego, pedagoga, działacza społecznego i artysty. Poznając tyle stron osobowości człowieka, nasz sąd o Lelewelu pogłębi się podczas lektury książki Chrzanowskiego o olbrzymi dorobek naukowy pierwszego historiografa Polski; w ciepłych, przychylnych zaś słowach Kormanowej odnajdziemy nawet „wzór pod wieloma względami naśladowania godny, jako wzór obywatela - demokraty, uczonego - pedagoga, człowieka i Polaka, którym się ze wszechmiar szczycić możemy". (str. 6).

Prof. Chałasiński w swej recenzji z książki Chrzanowskiego (Myśl Współczesna, Nr 2), pisze, że portret Lelewela-człowieka bez tła społeczno - historycznego nie tłumaczy czytelnikowi różnicy między historykami Heichensteinem i Naruszewiczem z jednej strony, a Lelewelem z drugiej. Chrzanowski tłumacząc tę różnicę specyficznym układem „ pierwiastków charakteru", pozwala umieszczać Lelewela - historyka w dowolnej epoce dziejów.

To, że Lelewel staje się nowym typem „historyka - inteligenta", nie jest zasługą jego właściwości psychicznych, lecz głównie wynikiem tworzenia się w miastach polskich nowych społecznie ludzi, nowej warstwy społecznej — inteligencji.

Kormanowa próbuje wytłumaczyć wyjątkowość postaci Lelewela w sposób bardziej wszechstronny. Szuka wyjaśnienia w środowisku rodziny Joachima, „która stanowiła przykładne gniazdo rodzinne. Atmosfera poważnej pracy, poczucie odpowiedzialności, wielka wrażliwość na losy kraju, szczere i głębokie przywiązanie wzajemne, troskliwa i rozumna miłość rodzicielska i w formy patriarchalnej uległości ujęte niekłamane uwielbienie synowskie" (str. 8); w elementach psychologii osobistej: charakterze, typie uzdolnień, zakresie i kierunku zainteresowań, które predysponują go na człowieka, „intelektu, myśli, dociekań" na „społecznika" żyjącego ideą, a murem trudnej, oschłej obcości oddzielonego od zmiennego biegu konkretnych wydarzeń, bardziej filozofa niż polityka".

Autorka w „Historyce" Lelewela dopatruje się dwóch właściwości jego umysłu: 1) nałogu teoretyzowania, 2) radykalizmu myśli, łącznie ze skłonnością do umiarkowania w działaniu. Tymi cechami tłumaczy zadziwiająco bierne zachowanie się Lelewela wobec doniosłych wydarzeń historycznych w r. 1807, 1809, 1812—13 i w okresie emigracji. a wspólne dla nich źródło odkrywa w atmosferze domu rodzinnego Joachima Lelewela.

Nie pomija również Kormanowa wyjaśnienia pewnych stron osobowości Lelewela i jego działalności w okresie wileńskim, charakteryzującej się kilkakrotnym wysokim wzniesieniem fali wysiłku twórczego i głębokimi spadkami twórczych napięć — psychologią kretschmerowską, zaliczając wybitnego historyka do „egocentryków, artystycznie przeczulonych, pobudliwych intelektualnie schyzotymików" (str. 18.)

Zupełnie na marginesie, charakteryzując trudność osiągnięcia dobrobytu własną pracą, w „dobie narodzin polskiej inteligencji", autorka więże Lelewela z nowym układem sił społecznych w Polsce, ale z tego historycznie i społecznie doniosłego faktu nie wyciąga wniosków, pisząc utartym sposobem „opowieść biograficzną".

Ani Chrzanowski, ani Kormanowa nie wytłumaczyli nam tego zjawiska historyczno-społecznego, jakim był Lelewel w chwili powstawania polskiej inteligencji. Zasługa ich wysiłku natomiast leży w tym, że wydobyli z szeregu prac naukowych: z listów, oświadczeń wybitnych myślicieli - demokratów, te jego koncepcje i plany, które czynią zeń człowieka bliskiego nas światopoglądem, metodą myślenia i celami działania. Jeśli dziś dopiero pojawiają się nieśmiałe próby syntezy i dostosowywania rzeczywistości historyczno - socjalnej tych elementów z teorii marksizmu czy durkheimizmu — to czyż nie zadziwiają nas te koncepcje Lelewela, których treść bliska jest owym syntezom; należałoby tylko język autora przetłomaczyć na nowoczesny, język naukowy, a mielibyśmy doskonałą naukową rozprawę o metodzie socjologicznej w historii.

„Oto co poczytuje Lelewel za jedno z głównych praw rządzących rozwojem czy to całej ludzkości, czy jednego narodu: jest nim walka „działów" ludzkości czy narodu, działu wyzyskującego i wyzyskiwanego, czyli inaczej: umierającego, dzięki swym przyrodzonym zdolnościom i szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, zdobywać sobie wszystko, czego dusza zapragnie, nade wszystko wolność i panowanie, z nieumiejącym, z tych lub innych przyczyn, dążyć do tych właśnie celów. Lecz jest jeszcze drugie prawo rozwoju historycznego: nie jednostki stanowią o takim lub innym rozwoju historycznym, tylko całe tłumy, całe warstwy społeczne, a cóż dopiero całe narody. „Czyn i siła jest w ludzie, pojedyńczych osób działanie z widni (widowni) dziejów niknie; myśl polityczna, towarzyska powoduje tłumy" do tworzenia państwa, jako niezbędnego warunku do pomyślnego rozwoju narodu. Tą siłą jest duch narodowy". (Chrzanowski, str. 148—9).

W pierwszym prawie mamy wyraźnie sformułowaną teorię walki klas, w drugim durkheimowską „świadomość zbiorową".

Kormanowa podaje więcej momentów, które przemawiają na korzyść Lelewela — krzewiciela polskiej myśli demokratycznej. Na specjalną uwagę zasługuje mowa Lelewela, wygłoszona pod wrażeniem bitwy pod Ostrołęką w 1831 r. na posiedzeniu Towarzystwa Patriotycznego. Wyłuszczył w niej „że przed narodem polskim stoją dwa zadania — „odzyskanie niepodległości i towarzyskie przeobrażenie (rewolucja socjalna) dla ulepszenia stanu wszystkich klas".

Po upadku powstania na emigracji, we Francji i Belgii skupia Lelewel całe demokratyczne wychodźctwo polskie, staje się jego przywódcą i reprezentantem. „Zjednoczenie Emigracji Polskiej", powstałe w 1834 r., przyjęło za podstawę programu swej działalności głośne cztery punkty Lelewela:

1. Zniesienie poddaństwa, usamowolnienie ludu,

2. Zniesienie pańszczyzny i powszechne uwłaszczenie chłopów.

3. Zupełną swobodę sumienia, więc równouprawnienie w literze prawa i w praktyce życia wszystkich wyznań tak chrześcijańskich jak niechrześcijańskich.

4. oświatę powszechną, państwową i narodową i bezpłatnie dzieciom niezamożnych rodziców udzielaną.

Jak doniosłą była rola Lelewela jako działacza demokratycznego na terenie międzynarodowym, świadczy zbliżenie „Związku Komunistów" i polskiej emigracji demokratycznej, którego szczytowym punktem był obchód drugiej rocznicy powstania krakowskiego. Na obchodzie tym (w Brukseli) przemawiał Marks, podkreślając inicjatywę Polski w zniesieniu praw feodalnych i wyzwalaniu klas upośledzonych, oraz Engels, podając charakterystykę roli, jaką odegrał Lelewel w powstaniu listopadowym.

Niezmiernie doniosłą wymowę ma fakt złożenie przez polską delegację podpisów pod „Manifestem Komunistycznym". Był tam podobno podpis Lelewela.

I oto zamknięcie dzieła życia — rok 1861, cmentarz Montmartre: „Nauka ,praca i wolność sumienia, trzy rzeczy, którymi przez długie swe życie zajmował się Joachim, pokazałaby się na jego grobie. Jedna w członku Instytutu (Francuskiego), druga w wyrobniku, trzecia w Żydzie, uosobiona, i wszystkie trzy złożyły hołd jego pamięci". (str. 88).

Pamięć o Lelewelu została poszerzona i pogłębiona; poznaliśmy, że jego osoba i jego myśli są wyjątkowo nam bliskie i aktualne w okresie próby dziejowej i wielkich przemian społecznych. Jeśli gdzie na szlaku naszej przeszłości może młodzież szukać zachęty i otuchy do walki i wiary w zwycięstwo słusznej sprawy ludu polskiego, to właśnie w dziełach, publikacjach i listach Lelewela, których wyjątki, streszczenia i opracowania podają nam te dwie książki.

Zygmunt Pióro

*
**

Żanna Kormanowa. Joachim Lelewel. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1946 95 i 1 nlb.

„Patriarchą polskiej demokracji" nazwał Lelewela w przemówieniu nad grobem przewodniczący związku robotników paryskich, blacharz Chaband. Nic też osobliwego, że dopiero dziś przyszedł czas na zgłębienie Lelewela i pełne przyswojenie jego dzieła naszemu społeczeństwu. Gdy dawne opracowania poświęcone Lelewelowi sprowadzały się do właściwie do dwu stadiów, Tadeusza Korzona i Stanisława Zakrzewskiego, do których w dwudziestoleciu międzywojennym przybyła tylko popularna monografia Artura Śliwińskiego w ciągu wznowionej od niewielu miesięcy, po ostatniej wojnie akcji wydawniczej ukazały się już dwie prace o Joachimie Lelewelu. Jedną wydał „Czytelnik" jako 100-ną pozycję spuścizny naukowej Ignacego Crzanowskiego, druga dopiero wyszła nakładem „Książki". Zasłona, którą rzocono na znienawidzonego jakobina i wolterianina, została uchylona.

Chrzanowskiego obraz „człowieka i pisarza" ma obok wielu zalet braki, które głównie sprowadzają się do tego, że ten historyk literatury jest zbyt daleki od zagadnień historiografii, metodologii i filozofii historii, stanowiących podstawową tematykę studiów nad Lelewelem. Na gruncie tym porusza się o wiele swobodniej Żanna Kormanowa, która zresztą rozporządza głębszą znajomością dzieł Joachima Lelewela. Umieszczając bohatera na tle jego czasu, dając portret dziejopisa i polityka, autorka nie tylko wyposaża bogato swój obraz w mało znane lub dotąd nieznane szczegóły i anegdotę, lecz dzięki wnikliwości, trafności sądu, ścisłości określeń i dzięki sztuce charakteryzowania daje syntezę, jakiej dotąd nie było.

Nie wadzi w tym nic, że praca Kormanowej ma zakrój popularny, pozbawiona jest aparatu naukowego i nosi mocne akcenty politycznej aktualizacji.

„Polszcze dwóch rzeczy potrzeba: naprzód wolności i niepodległości, powtóre ulepszeń i zupełnej swobody. Jedno bez drugiego być nie może". Tak orzekł genialny człowiek, jak nazwał Lelewela Fryderyk Eugels. „Spytajmy każdego Polaka, w kraju czy na emigracji, czego nam trzeba najbardziej?" — zapytuje Żanna Kormanowa. „Odpowie bez namysłu: „wolności i niepodległości". „Wolność zdobyliśmy — to przepędzenie faszystowskich rabusiów. Niepodległość umacniamy — to odbudowa państwa polskiego... obecnie zaś obwarowujemy je przez wprowadzenie „ulepszeń" przez zapewnienie „zupełnej wolności", pomni przestrogi lelewelowskiej: „Jedno bez drugiego być nie może".

Książeczka Kormanowej zawiera wiele pierwiastków badawczych, których wartość jest tym większa, że autorka przestrzega obiektywizmu, obowiązującego w nauce. Autorka cytuje korespondencję przyszłego protagonisty myśli postępowej. Przypomina jego błędy i pomyłki. O udziale Lelewela w słynnych wypadkach sierpniowych 1831 pisze Kormanowa: „Wszystko przemawia za tym, że dzień 15 sierpnia był przygotowany i wyczekiwany, i że lewica powstania, a w jej szeregach Lelewel, wiązała w nim duże nadzieje. Czerwonego radykala napróżno i wbrew prawdzie próbowano z tego „wybronić", skoro sam napisał o swych burzliwych dniach w powstańczej Warszawie: „Nie sądźcie, aby w dniu tym miało być w ruchu jakie nieporządne pospólstwo lub motłoch; nie, byli to obywatele do najżywszego rozjątrzeni, był to lud, co sobie sam sprawiedliwość odmierzał".

Że nad takim człowiekiem wiek XIX, który u nas po mistrzowsku malował jedną prawdę historyczną, a drugą zacierał, najczęściej zaś fryzował ad usum scholarum, że — powtarzamy — wiek ten zapuścił żelazną kurtynę nad Joachimem Lelewelem, — cóż w tym niezrozumiałego? Na domiar w usuwaniu w cień, wypaczaniu sylwetki i obrzydzaniu zarówno działalności politycznej jak jego pism, krótko mówiąc w odsunięciu jednego z najznakomitszych umysłem Polaków od oddziaływania na intelektualny rozwój społeczeństwa, wydatny udział wziął kościół. „Niektórzy księża chcieli się zająć persekucją o mnie, ich nieroztropna i niewczesna gorliwość nie mogła owocu wydać, ale w duchu nie ustali czyhać na mnie. Wiedzą oni dobrze, że w dziele moim znajdzie się wiele rzeczy z ich zdaniem niezgodnych.

Zmowa duchów poszła dalej. Jedno o Lelewelu zapomniano ostrożnie, drugie mu usłużnie dotworzono i tak stało się, że młodzież gimnazjum Joachima Lelewela wWilnie wyrastała w latach międzywojennych w pojęciach, które urągały pamięci najgruntowniej zapoznanego patrona.

Dziś wraca do Polski z listopadowego wygnania, dramatycznej poniewierki i nędzy w Brukseli (wartoby do Polski ludowej sprowadzić jego prochy!). Świetne rozdziały o jego działalności społecznej, udziale w powstaniu listopadowym, demokratycznym odłamie emigracji i obozie rewolucji, najcenniejsze w pracy Kormanowej, przywracają przy rodzone oblicze patronowi walki o nowy ustrój społeczny, w którym „przywilej żaden i pod żadnym kształtem mieć nie będzie miejsca". Węglarstwo i „Zemsta Ludu", „Młoda Polska" i „Związek Ludu Polskiego", „Zjednoczenie" i nakoniec zespolone „Towarzystwo Demokratyczne" oto etapy ideowo organizacyjnej pracy Lelewela, ukazane przez autorkę i wysuwające jeszcze bardziej niż dotąd pilną potrzebę i postulat wszechstronnego zbadania i wyświetlenia dziejów polskiej myśli rewolucyjnej na Zachodzie w długim okresie, otwartym przez wielką emigrację. Okaże się m. in., czy nie jest prawdą, że pod „Manifestem Komunistycznym" Marksa i Engelsa wśród podpisów „miał być również podpis Joachima Lelewela".

Omawiając niedawno książkę Ignacego Chrzanowskiego o Lelewelu w tygodniku „Odrodzenie", nazwaliśmy go prekursorem materializmu historycznego w Polsce. Żanna Kormanowa z pełną racją widzi w nim przedstawiciela romantycznej historiografii. „Lelewel szuka w historii dróg, którymi kroczy walka o postulaty rewolucyjnej młodej burżuazji swego czasu, o wolność republikańską, o równość w obliczu prawa, o nieskrępowany rozwój jednostkowego posiadania, myślenia, przekonania". Prawdopodobnie ta ocena utrzyma się. Niewątpliwe też jest że Lelewel żywił wiele przekonań idealistycznej historiozofii. Ale miłośnik statystyki (polityczno - społeczna arytmetyka) i poszukiwacz prawidłowości w zjawiskach historycznych, krążył około twórczych idej, które dojrzewały w najlepszych głowach, a dojrzały w umysłach Karola Marksa i Fryderyka Engelsa. W Polsce wyprzedził ich znakomity Lelewel. Cóż dziwnego, że krzyżowały się nie tylko ich myśli, lecz również prace organizacyjno - polityczne. Że sławił Lelewela Engels na brukselskim obchodzie drugiej rocznicy powstania krakowskiego z roku 1846, a Marks podczas obchodu rocznicy powstania listopadowego, w 1880 roku w Genewie wspominał o Polakach, „znakomitym Lelewelu i jego towarzyszach" jako uczestnikach tajnego kongresu londyńskiego z 1847 i mityngu w Brukseli. Jest również w duchu rzeczy i najściślej symboliczne, że wyrobnik w bluzie i sabotach" żegnał prochy Lelewela na cmentarzu Montmartre nazywając go patriarchą polskiej demokracji.

Praca Żanny Kormanowej posuwa naprzód dzieło poznania Lelewela i uczynienia go własnością ogółu. Zbliża też do spełnienia zadania, które wciąż stoi przed nami i w naszym pokoleniu winno znaleźć naturalnym trybem rzeczy wykonawcę. Zadaniem tym jest dzieło o Joachimie Lelewelu, jednym z największych naszych historyków, niepospolitym patriocie i bojowniku, który jak soczewka skupiał w sobie najlepsze cechy polskiego intelektualizmu. Byłoby to równocześnie dzieło o Polsce na jednym z przebytych przez nią przełomów.

Józef Sieradzki

Ukazał się 3-4 numer miesięcznika naukowego „Myśl Współczesna"

Numer zawiera następujące artykuły: Dr CZESŁAW ZNAMIEROWSKI, — prof. UP — Analiza oceny moralnej, Dr ADAM SCHAFF, prof. UŁ. — Zasada sprzeczności w świetle logiki dialektycznej, Dr ROMAN MARKUSZEWICZ, doc. UMCS — Ideały wychowawcze w przeszłości, a w rzeczywistości współczesnej, WOJCIECH JASTRZĘBOWSKI, dyr. Dep. Min. żegl. — Kolonizacja niemiecka w Polsce a demografia, inż. STANISŁAW ROUPPERT, adj. Polit. Łódzkiej — Sztuczna promieniotwórczość i jej zastosowania, LEON SCHILLER — Najpilniejsze zadania teatru polskiego. Nadto numer przynosi kronikę hiszpańską w opracowaniu M. SCHLEYENA, radziecką— M. WRÓBLEWSKIEGO, prawniczą — S. SZERA, przyrodniczą — Dr J. BARSKIEGO oraz recenzje książek D. W. BROGANA, N. ASSORODOBRAJ, A. OSTROWSKIEGO, J. WIDAJEWICZA, CZ. ZNAMIEROWSKIEGO.

„Myśl Współczesną" można nabyć we wszystkich księgarniach „Książki" i „Czytelnika".

ROZMAITOŚCI

Spór o poezję

Polemika na temat malarstwa między Przybosiem a Kottem w „Odrodzeniu" i „Kuźnicy" zahaczyła także o poezję. Powołując się na to, że krytyk i teoretyk ma prawo wyprzedzać twórcę, Kott oświadczył, że widzi wyłaniające się w powojennej poezji tendencje, które uważa za odpowiednik postulowanego realizmu w prozie. Na tej podstawie Kott przewiduje „odrodzenie poezji dyskursywnej, rygorów normatywnej poetyki, uproszczenie języka poetyckiego, inwazję środków wyrazów wyklinanych dotychczas z obszaru liryki jako prozaizmy lub banały". Przewidywanie to Kott wygłasza z radością, jako odpowiedź na sąd Przybosia, który twierdzi: „Obrazki rodzajowe, gawędy, sceny anegdotyczno-historyczne, rozprawki filozoficzne, które uprawiali wierszem jeszcze parnasiści (u nas Konopnicka i Asnyk) — wszystko to wydaje nam się dzisiaj sprzeczne z istotą poezji, odczuwamy je jako prozaiczny balast, zabijający poetyckość. Mowę wiązaną, poezję utożsamiamy dzisiaj z liryką".

Przyboś posądza Kotta o obronę czy chęć wskrzeszenia gatunków, które w poezji ostatnich lat kilkudziesięciu obumarły. Jeśli obrazki rodzajowe czy gawędy zjawiają się obecnie w poezji wiejskiej, opinia literacka traktuje to jako stan przejściowy w rozwoju tej poezji, jako objaw zrozumiałego historycznie zapóźnienia. Można więc z dużą dozą słuszności mówić o śmierci pewnych gatunków, tylko że podział na gatunki nie daje dostatecznego kryterium do ujęcia losów poezji w ciągu lat kilkudziesięciu. Wątpię, czy próby poematów podejmowane we Francji — umyślnie pomijam drażliwy teren rodzimy — jak poemat katolickiego poety Patrica du Pin „Awanturnik" (przekładany przez Miłosza) lub najnowsze próby zbliżonego do surrealistów Pierre Emmanuela, choć niefabularne, można podciągnąć pod klasyczne pojęcie liryki. Szybko zmieniają się czasy! W pierwszym dwudziestoleciu naszego wieku opinia literacka wołała ze zgrozą albo z triumfem, że oto na zawsze skończyła się liryka. Wykończył ją jakoby Verhaeren swoimi spienionymi rapsodiami. Można uważać poezję Verhaerena za formację przestarzałą, ale trudno chyba zlekceważyć oczywiste fakty literackie, inwazję obcych, jak sądzono, elementów na teren liryki, dokonaną w ślad za Verhaerenem przez Valery Larbaud, Apollinaire'a, młodego Superville'a i wielu innych we Francji, przez Majakowskiego w Rosji, rozbicie dawnego pojęcia liryki, hodowanego przez symbolistów, rozszerzenie i zbogacenie środków, z którego dziś korzystają nawet apologeci czystego jakoby liryzmu. Zdumiewa mnie niebywałe zwężenie perspektywy, w jakiej podejmujemy dyskusję o poezji. Z kim właściwie Kott walczy, postulując dopiero „uproszczenie języka poetyckiego, inwazją środków wyrazu wyklinanych dotychczas z obszaru liryki?" Z objawami rodzimego baroku, który identyfikuje z całą poezją? Z teoriami poetyckimi ks. Bremmond, który nie pisał wierszy? Z ezoterycznymi kółkami rodzimych estetów, rozmodlonych w neologizmach Leśmiana? Z przedśmiertną euforią symbolizmu w wierszach i estetyce Pawła Valery? W ostatnich latach przed wojną kilku ludzi w Polsce, tak samo, jak kilku ludzi we Francji robiło wiele szumu o „poezję czystą". Na szczęście wszyscy jesteśmy chwalebnie zbrukani troską o zetknięcie się w wierszu ze światem.

Kott przewiduje powrót do normatywnej poetyki. Bardzobym się cieszył, gdyby młodzi poeci wrócili do godziwych rymów i godziwych asonansów, albo też, według uznania, rezygnowali z nich zupełnie, ale tu nie o to chodzi. Czytałem niedawno słynną książkę Bendy „Francja bizantyjska czyli triumf literatury czystej". Benda oskarża cały odłam literatury francuskiej o nadużywanie myśli dla igraszki, o to, że aparat intelektualny przestał służyć do konfrontacji z rzeczywistością. Niestety, z chwilą, kiedy Benda zaczyna mówić o poezji, okazuje się, że widzi ją wyłącznie w regularnym rytmie i w normach pseudoklasycznych. Benda po prostu nie uznaje kwalifikacji poetyckich wewnętrznego rytmu zdania. O ile mi wiadomo, Kott je uznaje i prawdopodobnie dostrzega współistnienie nie tylko w poezji współczesnej, ale i u poszczególnych poetów elementów „normatywnych" i „nienormatywnych". W imię czego, w imię jakiego realizmu chciałby to bogactwo uszczuplić? Zamiast robić z norm poetyckich kwestię metafizycznego wyboru, zamiast wciągać się w jałowe, akademickie dyskusje, czy strofa ma być regularna czy nie, czas byłoby zażądać takiego podniesienia świadomości poety, aby wybierał i bogactwem tym gospodarował w zależności od treści. Tak zresztą poeci przeważnie postępują, nie czekając na krytyków.

Najdziwniejszym nieporozumieniem wydaje mi się spór o prozaizmy, łączenie prozaizmów z normatywną poetyką, albo z modlitwą o banał. Prozaizm dotyczy słownictwa i składni, jest pojęciem zawsze względnym i czynnikiem zawsze postępowym. Twórcza poezja w doświadczeniu swoim zagarniała coraz to nowe obszary słownictwa i składni — uważane za prozaizmy. Mickiewicz był dla pseudoklasyków hodowcą prozaizmów i równocześnie sprawiał im przykrość wykraczaniem poza normatywną poetykę. Puszkin uprościł i uprozaicznił słownictwo i składnię poezji rosyjskiej, a równocześnie umocnił normy sylabotonicznego wiersza. A cóż to współcześni zarzucali Baudelaire'owi, jeśli nie brak smaku, wprowadzanie do poezji słów, pojęć, obrazów wulgarnych, naruszanie toku poetyckiego prozaicznymi wstrętami? Następna generacja dojrzała w tym wzór harmonii artystycznej. A co zrobił Corbière? Co robił Rimbaud, jeśli nie zatapiał w poezji całych obszarów, które przedtem należały do prozy. Walt Whitman zwalił na poezję lawinę prozaizmu, bez rymu, bez regularnego rytmu, bez obrazowania, bez tropów poetyckich, zwyczajną gadaninę, wspaniałą poezję, która po latach inspirowała poetów rozbijających cieplarnie symbolistów we Francji i w Rosji i u nas. Wspomniałem już na początku poetów, którzy wprowadzili twórczy ferment do liryki. Drożdżami było słownictwo, składnia, środki wyrazu prozy i mowy potocznej. Nigdy nie entuzjazmowałem się poezją skamandrytów, a to z racji ich symbolizmu i biologicznych upojeń, ale wielką byłoby niesprawiedliwością lekceważyć rolę historyczną, jaką odegrał zwłaszcza Tuwim, napuszczając gwałtownie świeżego powietrza do pokoju, który przedtem nazywał się nieinaczej jak izbą, gdzie poezja stroiła się w pozaczasowe szaty, zamiast ubierać się w zwyczajną sukienkę i sypiała na metafizycznym łożu zamiast po prostu w łóżku. Po każdym żywym kroku poezji krytycy, których wrażliwość zaskorupiła się w przebytym okresie, stale wołali: „To nie poezja, to proza". Ci sami zresztą Skamandryci już u poetów młodszych o pół generacji znajdowali tylko dziesięć procent poezji, reszta była dla nich prozą. Nie mówię o poetycznych epigonach.

Kierunek i sposób włączania do poezji elementów „prozaicznych" zmienia się z biegiem czasu. Obecnie zachowawczy esteta przełknie bodaj wszelką wulgaryzację języka, bo przyzwyczaił go do tego jeszcze Baudelaire, ale niech tylko wejdą do poezji słowa z języka politycznego, niech zjawi się myśl społeczna, zaraz usłyszymy, że to obniżanie poezji. W tym sęk...

Nie odgaduję, gdzie dojrzał Kott zapowiedź pożądanego przez siebie zwrotu do poezji dyskursywnej. Mamy jej mniej, niż przed wojną, kiedy celował w niej zwłaszcza Słonimski. Krytyk ma święte prawo postulowania, pozatem jednak ma obowiązek wejrzenia w to, co się dzieje, bo inaczej straci możność oddziaływania na praktykę literacką. Obawiam się, że Kott zbyt różowo widzi najbliższą przyszłość i że cały ten spór krytyka z poetą nie toczy się wobec realnej perspektywy. Czytajcie młodych. Rozczapierzona chmura ekspresjonizmu zbiera się nad ruinami Warszawy i nie jest to chmura odosobniona. Na pewno Kott dojrzy ją również nad rozdartą tragicznie Francją.

Pomóżcie młodym wygrzebać się z bezkształtu treści i formy. Przyboś mówi słusznie: uściślić środki wyrazu. Obawiam się, że to skromna rada. Uściślić treść, zhierarchizować uczucia.

Adam Ważyk

PRZEGLĄD PRASY

Rzadko kiedy ukazanie się nowego pisma dzisiaj, przy istniejącej powodzi periodyków, powitać można z równie żywą radością, co ta, która towarzyszy oglądaniu pierwszego numeru dwutygodnika lit. społ. „POKOLENIE". Redaktorem naczelnym pisma jest płodny młody poeta i prozaik Roman Bratny, a współpracownikami grono przedstawicieli tego „pokolenia", które dopiero okres wojny wyniósł na arenę publicystyki i literatury. Nikt ze zjawiska pojawienia się żywego i pełnego temperamentu pisma młodych nie może cieszyć się bardziej niż „Kuźnica", od dawna dopingująca i prowokująca młode pokolenie do zabrania głosu w sposób pełny i angażujący. „Pokolenie" atakuje. Atakuje na odcinku jednym z najdrażliwszych: krzywdy, jaka dotknęła młodzież warszawską, skupioną w AK, przez obarczenie jej odpowiedzialnością za polityczne błędy jej przywódców. Bratny w artykule wstępnym przypomina afisze, piętnujące AK jako organizację reakcyjną i nie czyniące w schematycznym uproszczeniu rozróżnienia między politykami i żołnierzami. Stwierdza: „Mówią nam, że nie było to zgodne ze stanowiskiem kierowników obozu, budującego nową Polskę, ale w takim razie był w tym obozie ludzie którzy nie służyli jej budowie". Bratny ma rację, choć bierze rzecz może zbyt emocjonalnie, czyż bowiem nawzajem nie było takich ludzi nie służących budowie nowej Polski w AK, i czy nie to było powodem uproszczeń okresu wojennego? Sam Bratny nieco dalej pisze o tych, co do dziś nie mogą pogodzić się z nową Polską. „To co ideologicznie dzieli nas od dzisiejszej rzeczywistości kraju, to są rzeczy znikome" — mówi Bratny. „Sto procent niechęci wzajemnych jest dziś — gdy już nikt nie usiłuje tłumaczyć, że to w obronie wielkiego kapitału walczyliśmy na ulicach Warszawy — do usunięcia". Jesteśmy też tego zdania. Pierwszy numer „Pokolenia" wypełniony jest prawie w całości materiałami, związanymi z powstaniem warszawskim. Prozę drukują J. Piórkowski, J. Płażewski, W. Zalewski, J. Zwirska; Wiersze — Borowski, Bratny, Różewicz, Stolarek, Ziembicki. Ponadto znajdujemy artykuł M. Margala na temat warunków życia młodzieży akademickiej i ostatnią stronę not, gdzie niech nam będzie wolno jako „starszym panom" skrzywić się na „Elegię na powrót umarłych poetów" T. Różewicza, zbyt sztubacka jak na poetę często drukowanego w poważnym „Odrodzeniu".

Ostatni, podwójny nr. „Twórczości" — to cała książka i zasługuje zapewne bardziej na szeroką recenzję niż na pobieżne omówienie w przeglądzie prasy. Jak zwykle zebrany materiał ugrupowano według pewnych pokrewieństw tematycznych: wątkiem przewodnim numeru wakacyjnego wydaje się być egzotyka. Jednym skrzydłem zatrąca ona jeszcze o przeżycia wojenne, dając potrójne oświetlenie kampanii afrykańskiej: przez jej uczestnika, żołnierza brygady karpackiej (Mieczysława Pruszyńskiego — „Księżyc wschodził nad Gambutem"), przez pisarza operującego w przedstawieniu kampanii afrykańskiej tylko wyobraźnią Jana Dobraczyńskiego—fragment powieści „Najeźdźcy" p. t. El Alamein) i—swoista sensacyjka—przez żołnierza niemieckiego, którego relację, znamienną ze względu na budzącą się już w trzecim roku wojny w Niemcach świadomość nadciągającej klęski — przełożył Kazimierz Wyka. Drugie skrzydło egzotyki w numerze stanowi wprowadzenie w twórczość dwu poetów amerykańskich, sięgających po motywy do elementów kultur ras kolorowych: w opartą na motywach indiańskich pieśń Longfellowa wprowadza nas Bogdan Żyranik amerykańskiego piewcę murzynów Vachel Lindsaya — prezentuje Stanisław Helsztyński. Łagodne wprowadzenie do podróży po innych częściach świata stanowi, otwierająca numer „Douce France" — fragmenty prozy z pełnego kulturalnej finezji dziennika Andrzeja Bobkowskiego, z którego talentem mieliśmy już możność zapoznać się na łamach „Twórczości". Trzeba zresztą powiedzieć, że fragment poprzedni, pełen plastyki i realizmu i z mniejszą ilością mimozowatych refleksyj intelektualnych był dużo ciekawszy. Zamknięciem części egzotycznej numeru jest piękne opowiadanie morskie Jana Papugi i bardzo zabawny groteskowy utwór sceniczny Jerzego Zagórskiego i Jerzego Andrzejewskiego p. t. „Święto Winkelrieda". Poezję polską reprezentują w numerze wiersze Pawła Hertza i Tadeusza Różewicza, dział krytyki — dwie rozprawy o powieści: interesująca praca o nobilitacji powieści w epoce romantyzmu K. Wyki i Essay'e o drogach powieści XIX wieku Włodzimierza Pietrzaka, którego ukazanie się w drugą rocznicę śmierci pisarza daje cenny obraz przemyśleń i przemian jakie przechodził w ostatnim etapie swego tragicznie przerwanego życia ten niespokojny i żywy umysł. Dopełniają numer dwie prace dotyczące ruchu wydawniczego i czytelnictwa: Jan Hulewicz omawia polski ruch wydawniczy lat wojennych w Anglii, a Aniela Mikucka wyniki badań czytelnictwa młodzieży krakowskiej. Co do tych ostatnich — to zważywszy, że badania obejmowały także młodzież siedmnasto i osiemnastoletnią — trudno je uważać za pocieszające. Potwierdzenie kultu Sienkiewicza i Rodziewiczówny i zupełny brak zainteresowania pisarzami obcymi (w pierwszej dziesiątce tylko Karol May!) nie nowość to dla nas i nie dziwota, ale też tym mocniejsze ugruntowanie w przekonaniu, że zadania nowej, zreformowanej szkoły, są wielkie i głębokie. Ciekawe byłoby porównać badania zamiłowań czytelniczych młodzieży krakowskiej z badaniami innych środowisk w Polsce. Nie łudzimy się, by różnice mogły być znaczne, ale jednak, kto wie? Wśród not, zamykających numer, ciekawostką jest stwierdzenie przez redakcję, że autorem obu fragmentów świetnej prozy dokumentarnej z Oświęcimia w 4 (kwietniowym) numerze tego pisma jest autor drukowanego ostatnio w „Kuźnicy" opowiadania „Śmierć powstańca" Tadeusz Borowski, a nie jak mylnie podano w stosunku do jednej z nich, Krystyn Olszewski. Inną ciekawostką jest wypowiedź francuskiego autora powieści „Wychowanie europejskie" Romain Gary, której tematem jest walka polskiej partyzantki na Wileńszczyźnie i o której pisał Kott. Okazuje się, że Gary, syn Rosjanina i Francuski, który trzy lata mieszkał w Polsce, bezbłędnie pisze i mówi po polsku, a nadzieja, którą wyraża „że polski język mu nie nawalił"—nie zawiodła. „Kott mnie trochę podrapał — pisze Gary — ale na to on i Kott, żeby drapać". A myśmy myśleli, że przywilej żartów z nazwiska naszego krytyka pozostanie zawsze monopolem publicystów z tej strony Odry i Nysy!

Ostatni numer „Odrodzenia" otwiera cykl wierszy M. Jastruna i interesujący reportaż Fr. Gila o wypadkach i procesie kieleckim. „Nie robi dobrego wrażenia — pisze Gil — nieustanne upominanie się prasy lewicowej o głos kleru, nerwowe dopilnowywanie — czy już — i czy należycie — kler i działacze katoliccy potępili zajścia. Może uwierzytelnić podejrzenia o słabość lewicy, może prowadzić do przecenienia wpływów i możliwości kleru... Sprawę zachowania się kleru wobec kieleckiego mordu — należałoby chyba rozpatrywać pod kątem co najmniej współodpowiedzialności, przerzucić z płaszczyzny kaznodziejskiej na płaszczyznę postawy czynnej... Dlatego ważniejsza od nagabywania władz kościelnych o deklarację, wydaje mi się dyskusja czy biskup ordynariusz kielecki mógł jako aktywny chrześcijanin uratować mordowanych ludzi od śmierci, a swoich wiernych odciągnąć od kainowych zbrodni. Kiedy rozbestwiony tłum wyciągał z izb pojedyńczych Żydów i zadeptywał ich na śmierć — pozostali, zabarykadowani w reszcie pokoi dzwonili do wojewody, na bezpieczeństwo, do wojska i do biskupa. Z oświadczenia kardynała Hlonda dla prasy zagranicznej wynika, że na miejsce wypadków udał się jeden z duchownych podejmując próby uspokojenia rozjuszonego tłumu. Kielce nie są wielkim miastem i Kuria Biskupia mieści się niezbyt daleko ulicy Planty. Wierzę, że gdyby w ciągu tych dziewięciu godzin pogromu ordynariusz kielecki, ksiądz biskup Kaczmarek udał się na miejsce zbrodni, tłum w obecności jego, nie odważyłby się mordować niewinnych ludzi... Wierni księdza ordynariusza Kaczmarka chodzą po mieście i czytają częstochowską odezwę biskupa Kubiny — kończy Gil ustęp swego reportażu p. t. „Stracona szansa biskupa Kaczmarka".

s. m.

Z zagadnień sprawiedliwości międzynarodowej

(dokończenie ze str. 9-ej)

Pojęciem „lex retro non agit" można operować w warunkach pewności prawnej w stosunkach wewnętrznych. Naruszenie tej pewności przez okupanta — zmusza w następstwie ustawodawcę do jednorazowego zastosowania wstecznego obowiązywania pewnych przepisów prawnych, który to system pewność prawną przywraca. W sprawie międzynarodowym które na dobrą sprawę dopiero się na naszych oczach kształtuje, w zasięgu którego pewność prawna nigdy właściwie nie istniała — stosowanie metody „lex retro agit" w stosunku tylko do procedury wraz z ustanowieniem Trybunału sądzącego oraz sankcji — prawu międzynarodowemu pewność tę nadaje. Międzynarodowy przestępca otrzymuje tu niejako ostrzeżenie że złamanie „praw ludzkości i postulatów sumienia międzynarodowego" (IV konwencja haska) nie może ujść bezkarnie, gdyż — „nullum crimen sine poena". A gdy prawo międzynarodowe wraz ze swą procedurą, wraz ze swym Trybunałem, sięgnąwszy karzącą ręką wstecz — stworzy pewność prawną, wtedy znowu będzie można przywrócić do godności szacowną zasadę rzymską, że prawo wstecz nie działa.

RUDOLF LESSEL

TREŚĆ POPRZEDNIEGO NUMERU:

Adam Rapacki — Po rozmowie z przyjacielem z PSL.
Jan Kott — Tydzień Paryski;
Kandyd — Tak toczy się świadek;
Seweryn Pollak — Lucjan Szenwald.
Lucjan Szenwald — wiersze,
Adolf Rudnicki — W Górze Kalwarii;
Adam Ważyk — spór o malarstwo;
Ryszard Matuszewski — O Włodzimierzu Pietrzaku;
Mariusz Margal — sprawy czeskie;
Stefan Otwinowski — w Krakowie
Przegląd Prasy;
Noty.

NOTY

Jak depeszuje Hunter

W czerwcu br. na Międzynarodowym Kongresie Dziennikarzy w Kopenhadze uchwalono rezolucję, potępiającą korespondentów zagranicznych, którzy w pogoni za sensacją wysyłają do swych pism wiadomości, pozbawione rzeczywistych podstaw.

Niewiele tygodni upłynęło od tej chwili, i oto 19 lipca jeden z czołowych dzienników w tej samej Kopenhadze „Berlingske Titende" zamieścił na pierwszej stronicy przedruk korespondencji „Daily Mail" z Polski:

„Wojna w Polsce między oddziałami rządowymi a armią podziemną" — głoszą ogromne litery tytułu.

„Czołgami i samolotami, wypożyczonymi od Czerwonej Armii, są zwalczane nielegalne polskie siły na 500-milowym froncie" dodaje podtytuł.

Z korespondencji dowiadujemy się, iż „jak depeszuje współpracownik „Daily Mail" John Hunter, znajdujący się w miejscowości (?) granicy polsko - rosyjskiej" stutysięczna armia, zwalczająca rząd warszawski, opanowała poważną część wschodniej Polski. Działalność nielegalnych sił przybrała takie rozmiary, że rząd zmuszony był przystąpić do ataku. Większe oddziały wysłano na wschód, i ubiegłej nocy rozpoczęły się operacje na szerokim 500-milowym froncie od granicy Czechosłowacji do błot mazurskich. W operacjach biorą udział czołgi i samoloty, wypożyczone od Czerwonej Armii.

Dalej następują szczegółowe wyjaśnienia, z których wynika, że ta „wschodnia Polska", opanowana jakoby przez „wojsko podziemne" to „zalesione bagna w okolicy Krakowa i Radomia". Po napomknięciu o rewizjach, dokonywanych przez rosyjską tajną policję oraz konkluzji, że „w ten sposób wojna podziemna wydobyła się obecnie na powierzchnię", kończy gazeta rzekomym oświadczeniem Premiera Osóbki - Morawskiego, iż „ta wojna kosztuje już Polskę 20 tys. istnień ludzkich.

Dlaczego p. Hunter nie podporządkował się rezolucji Kongresu Dziennikarzy? Dlaczego „Daily Mail" zamieszcza, a „Berlingske Tidende" przedrukowuje wyssane z palca wiadomości? W czyich interesach leży rozpowszechnianie podobnych bredni o Polsce?

ww.

Jego wojna

Wieszcz nieprzejednanej emigracji, Marian Hemar, prowadzi od pewnego czasu w Londynie teatrzyk rewiowy, p.n. „Klub Białego Orła". Recenzje jednego z ostatnich programów teatrzyku pt. „Polski V-day" zamieszcza dn. 18.VI. 46 „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza". Czytamy w tej recenzji:

„Piosenki melodie... trafiają w nasze wspomnienia, w nasze tęsknoty. Wieczory w Orle Białym stały się klapą bezpieczeństwa dla naszych trosk i smutków... Tę gorycz naszą, zawód i żal, podchwyciła poezja i odrzuciwszy wszystko, co małostkowe i zbędne, wyraziła uczucia w słowach prostych i wzniosłych... Publiczność zdradziła piosenkę o Ekscelencji, z którą nie chciała się rozstać przez szereg miesięcy, śpiewając ją każdego wieczoru, na rzecz nowej piosenki Hemara o „Polskim V-day'u" z uparcie czepiającym się pamięci refrenem „Moja wojna nieskończona, moja wojna jeszcze trwa!"

Trudno nie współczuć autorowi piosenki, oraz publiczności, którą wzruszają te słowa „proste i wzniosłe".

Wojna pana Hemara nieskończona, wojna pana Hemara jeszcze trwa! Skończy się tego dnia, kiedy generał Anders na białym koniu wyląduje w Rembertowie.

ww.

Gorzkie słowa

Wychodzące w Lozannie pismo „Servir" charakteryzuje obecną sytuację polityczną w Polsce w następujących słowach: „Rząd, który wprowadza w życie reformę rolną i odbudowuje przemysł, ma szanse zdobycia mas, jeśli nie dziś, to w ciągu pięciu lub dziesięciu lat, czego nie można powiedzieć o partii PSL, która nie posiada zmysłu organizacji ani zmysłu panowania. Mikołajczyk chce zyskać na czasie, ale czas pracuje przeciwko niemu. Jego zwolennicy nie mają już tego zaufania, jakie mieli początkowo... Polska pozbawiona przedwcześnie wodzów na miarę Witosa i Sikorskiego kontynuuje swą odwiecznie tragiczną historię. Tragiczną i bez widoków wyjścia z niej, jak tragedia narodu żydowskiego, którego tak nienawidzi. Lecz jeśli ten wartościowy naród nie posiada zdolności do demokracji, nie ma ich tym bardziej do dyktatury". Te gorzkie słowa szwajcarskiego pisma, oceniającego tak pesymistycznie zdolności polityczne narodu polskiego, godne są uwagi. Nasza niezgoda domowa budzi nieufność w nasze siły. Oto najgorszy z błędów, jakie popełniają ci, którzy sądzą, że „zbawią ojczyznę" przez sianie zamętu, warcholstwa, walki bratobójcze i zamachy na władzę prawowitą.

mj.

Oświadczenie

Zarząd Związku Zawodowego Literatów Polskich — Oddział w Łodzi po zapoznaniu się z treścią pisma Eugeniusza Kuthana z dnia 28 czerwca 1946 r. — kolportowanego przezeń wśród władz i organizacyj, a dotyczącego jego sporu z członkiem Związku Zawodowego Literatów Polskich Janem Brzechwą — nie wchodząc w meritum sprawy stwierdza, że forma i ton tej wypowiedzi wydawcy względem pisarza są niedopuszczalne.

Zarząd Związku Zawodowego Literatów Polskich Oddział w Łodzi podaje ten fakt do wiadomości kolegów — pisarzy w tym celu, aby w stosunkach z firmą wydawniczą E. Kuthana, zachowali jak najdalej idącą ostrożność.

Zarząd Oddziału ZZLP. w Łodzi
Prezes (—) **T. Łopalewski.**
p. o. Sekretarz (—) **R. Matuszewski.**

EDWARD SZUSTER

Dwie książki o wojsku polskim na zachodzie

*) Kazimierz Koźniewski. Rok ziemi obcej. 1940—1941. Nakładem Spółdzielni Księgarskiej „Czytelnik" 1946 r.

Na tle własnych przeżyć i wspomnień osnuł Koźniewski swój bogaty w interesujące spostrzeżenia i uwagi retrospektywny reportaż. Okres przedstawiony w jego książce (luty 1940—luty 1941) był jednym z najciekawszych i w zmiany nastrojów najbogatszych. To czas pełnego wiary oczekiwania na wystąpienie Francji, czas najcięższych zawodów i zwątpień związanych z francuską klęską, czas stopniowej regeneracji nadziei. Przez ten czas właśnie autor prowadzi czytelnika śladem swej drogi wiodącej z kraju przez Francję na Brytyjskie Wyspy.

Jak już wspomniałem, osobiste przeżycia autora są tu raczej pretekstem, są środkiem do pokazania zagadnień daleko szerszych. Na kartach swej książki daje Koźniewski relację o polskiej „emigracji walczącej" i opowiada o tych krajach i społeczeństwach w jakich żołnierz polski znajdował przytułek. Oba tematy, ciekawe same przez się, pod wnikliwym spojrzeniem autora barwią się szeregiem interesujących i istotnych szczegółów. Z perspektywy trzech lat (praca została ukończona w lipcu 44 r.), wobec jasnej już sytuacji mógł Koźniewski bezbłędnie przesegregować i wyodrębnić zasługujące na podkreślenie momenty. To „odczekanie" dobrze świadczy o odpowiedzialności autora wobec pracy.

Spośród szeregu szczegółów tyczących naszych wojsk na obczyźnie zwracają uwagę informacje o elemencie składającym szarą masę żołnierską. Armia Polska we Francji opierała się o emigrację powrześniową i emigrację starą, wśród której Koźniewski wyodrębnia: wychodźtwo ideologiczne (np. byłych żołnierzy Czerwonej Hiszpanii), wychodźtwo ekonomiczne i wreszcie wychodźtwo awanturnicze (Polacy z Legii Cudzoziemskiej). Jest rzeczą charakterystyczną, że po klęsce Francji, wobec ochotniczego wyjazdu na Wyspę, nie zawiodły jedynie obie grupy o charakterze ideologicznym, t. j. ci co po wrześniu 39 r. wyrwali się z kraju oraz uczestnicy wojny hiszpańskiej. Pozostałe elementy w chaosie katastrofy zawieruszyły się skrzętnie. Jeszcze jeden przyczynek do tezy, że emigracja ekonomiczna niezmiernie szybko gubi istotny kontakt z krajem macierzystym, dla którego jest w ogromnej większości bezapelacyjnie stracona. Jeszcze jedno świadectwo głębokiego patriotyzmu Polaków, pierwszych bojowników z faszyzmem, których za te właśnie walki kokietujący Hitlera przedwrześniowy rząd polski pozbawił polskiego obywatelstwa.

Interesujące są jeszcze relacje autora o postawie francuskiego i angielskiego społeczeństwa wobec wojny i zadań przez nią założonych. Przedzierający się z kraju żołnierze polscy odnaleźli we Francji, wśród większości narodu zdecydowaną niechęć i apatię wobec toczącej się już walki, a między sferami wojskowymi tę samą ślepą wiarę i bezkrytyczną ufność we własne siły jaka cechowała wojskowe środowisko polskie przed katastrofą wrześniową. Nic dziwnego, że widząc te nastroje żołnierz polski często odganiać musiał sceptyczne refleksje (zdaje się, że brak ich było w polskim dowództwie), których istnienie sprawiło, że upadek Francji — tak niespodziewanie i ciężko odczuty w Polsce — nie był dlań ciosem zaskakującym i śmiertelnym psychicznie. Depresja minęła dość szybko wobec spokojnej i ufnej postawy ludności brytyjskiej i nieukrywających powagi sytuacji a bacznych i trzeźwo patrzących kierowniczych sfer angielskich. I o ile „okres francuski" dał Polakom w gruncie rzeczy bardzo niewiele, to pobyt na Wyspie nauczył ich szacunku dla spokojnej lecz wytężonej i świadomej celu pracy. Wspomina Koźniewski o wezwaniu: „learn English", jakie skierował do naszej emigracji Ksawery Pruszyński. Istotnie, wiele można się było od Anglików nauczyć. Czy z tych możliwości skorzystano? Trudno odpowiedzieć na to pytanie wobec faktu, że ogromna większość tych, co się uczyć mogli, pozostaje do dziś poza granicami kraju. Jedno wydaje się niewątpliwe. Nie nauczyli się realizmu politycznego cechującego w tak wybitnym stopniu ich gospodarzy.

Nie sposób przemilczeć zagadnienia emigracji, o ile mówi się o jej początkach. Sprawę tę porusza Koźniewski niejednokrotnie. Stwierdza on, że ludzie którzy opuścili kraj bezpośrednio po wrześniu 1939 roku już na początku roku 1940 stracili możność rozumienia tego co się w nim dzieje. Mimo dobrej łączności i wiadomości przenikających obficie różnymi drogami, nie konkretyzowali w swej świadomości stanu rzeczy panującego pod okupacją. Ma rację Koźniewski gdy pisze: „Emigracja — to choroba, przy tym wielkodusznie dodaje: „Dlatego wymaga wyrozumiałości".

A przecież, gdy dwa lata minęło od napisania tych słów, sam Koźniewski niecierpliwi się tym wciąż nierozstrzygniętym problemem (Przekrój Nr. 67).

*

Stanisław Strumpf - Wojtkiewicz — „Generał Sikorski i jego żołnierze", Księg. Ludowa, T. Lemiński. Łódz 1946.

Stanisław Strumpf-Wojtkiewicz specjalizuje się w dziejach emigracji zachodniej. W Nr 5(23) „Kuźnicy" ogłosił artykuł o Sikorskim, w Nr 10 (28) tegoż pisma drukował wspomnienia i uwagi o korpusie oficerskim na emigracji. W „Przekroju" (Nr Nr 49, 52) znajdziemy publikacje, które następnie, po nieznacznych zmianach weszły do wydanej później książki. Po ukazaniu się tej ostatniej rozpoczął Wojtkiewicz na łamach „Rzeczpospolitej" cykl artykułów pt. „Gwiazda Władysława Sikorskiego". Wreszcie, czerwcowy (1) numer „Polski Niepodległej" zawiera „rozkaz Sikorskiego" opracowany przez tegoż autora. Sądzę, że przegląd tych publikacji jakie nie uszły mej uwadze — niezbyt zresztą w kierunku ich śledzenia wytężonej — usprawiedliwia całkowicie zawartą na wstępie tezę.

Dobrze jest jeśli ktoś zabiera głos w sprawach, o których może coś ciekawego powiedzieć. Tak jest właśnie w wypadku Wojtkiewicza, który poruszany przez siebie temat zna. Gorzej jest natomiast o ile autor temat ten po dziennikarsku „wałkuje", co też ma miejsce w interesującym nas dziś wypadku. Należy żałować, że Wojtkiewicz nie zechciał swych ciekawych spostrzeżeń i uwag zebrać w poważniej ujętej pracy miast hojną ręką rozrzucać je po urywkach i fragmentarycznych artykułach. Że przy tej metodzie nie sposób ustrzedz się nieciekawych powtórzeń świadczy choćby porównanie artykułu z Nr 5 „Kuźnicy", pierwszego rozdziału wydanej książki i cyklu publikowanego w „Rzeczpospolitej". Wszystkie te prace zajmują się tym samym tematem ujętym tem szerzej im publikacja jest późniejsza, co tematowi nic nie dodaje.

Książka składa się z dwu, względnie odrębnych części. Treść pierwszej wyjaśnia dostatecznie tytuł: „Czynności generała Sikorskiego". Jest to chronologiczne wyliczenie ważniejszych prac Sikorskiego od dni klęski wrześniowej po gibraltarską katastrofę. Rozdział ten nie posiada zwartości i wyrazistości jakie cechują ujęcie tegoż tematu w artykule publikowanym w „Kuźnicy", nie jest też opracowany tak szeroko jak „Gwiazda Władysława Sikorskiego". Słowem, sam Wojtkiewicz dał już dwie prace mające większą wartość niż ta, nienajcelniejsza część jego książki.

Pozostałe rozdziały poświęcone są historii polskich jednostek wojskowych na zachodzie. Jest to pierwsze opracowanie tego tematu jakie ukazało się dotychczas. Z założenia samego zagadnienie ujęte jest w sposób mocno ogólnikowy i w zasadzie dotyka jedynie tych momentów kiedy żołnierz polski „zdawał egzamin", tj. brał udział w walkach. Na wszystkich scenach zachodniego teatru wojny oręż polski odegrał chlubną rolę. Mówi o tych bojach Wojtkiewicz, i żałuje, że na zachodzie zbyt mało mówi się o zasługach Polaków. Podobno głównie Anglicy mają skłonność do przemilczania naszego wkładu w zwycięstwo.

Nie chodzi już o samą istotę tej kwestii, choć powiedzmy sobie szczerze, udział Polaków w ostatniej wojnie — ogromny jak na nasze możliwości — w stosunku do osiągnięć wielkich narodów jest conajmniej skromny. Dziwnym jest jednak, że autor nie dostrzega, iż bolejący go fakt wywodzi się konsekwentnie z całokształtu emigracyjnych stosunków. Pogląd Wojtkiewicza na te stosunki wygląda — słusznie zresztą — jak następuje: Sikorski był realnym i szeroko patrzącym politykiem, doły wojska cechowało poświęcenie i wola walki, starszyzna oficerska bruździła swym rozpolitykowaniem, intryganctwem i ograniczonością. Otóż właśnie starszyzna objęła ster spraw emigracyjnych po tragicznej i niewyjaśnionej śmierci Sikorskiego i napewno wiele krwi napsuła Brytyjczykom, których o wszystko, lecz nie o brak trzeźwości posądzać można. Po katastrofie gibraltarskiej i jej konsekwencjami: definitywnym zerwaniem stosunków między polskim Londynem a ZSRR, Polacy byli gośćmi dość kłopotliwymi dla związanych sojuszem ze Związkiem Radzieckim Anglików. W tych warunkach łatwo zrozumieć, że oficjalny nurt polityki angielskiej nie lubował się w podkreślaniu paradoksalnej sytuacji jaką było przymierze z dwoma nieprzyjaznymi sobie partnerami, z których jeden tak nieskończenie przewyższał swą wagą drugiego. I trudno robić Anglikom zarzuty za brak lojalności wobec wojska polskiego walczącego przy ich boku, tak samo, jak trudno nie uznać, że byliśmy dla nich najważniejszym sprzymierzeńcem jedynie w okresie od upadku Francji do wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej. Z tą chwilą, siłą rzeczy, Związek Radziecki wypłynął na miejsce pierwsze. Potem w hierarchii ważności zepchnęły naszą emigrację Stany Zjednoczone i wreszcie Francja.

Wróćmy do książki. Udział formacji polskich w działaniach na zachodzie jest w niej przedstawiony dość ogólnie, lecz rzeczowo. Gruntownie opracować tę sprawę winien fachowy wojskowy. Zagadnienie stosunków politycznych poruszanych mimochodem na przestrzeni całej pracy jest już, jak wspomniałem, opracowane szerzej przez samego Wojtkiewicza a znajdzie też napewno innych autorów.

Tak jak zostało ujęte w pierwszym rozdziale omawianej książki, w postaci bogatego w niepowiązane fakty konspektu, nasuwać może sporo zastrzeżeń a przede wszystkim prowadzi do zbyt łatwych uproszczeń. Po lekturze tej książki jeden z moich znajomych oświadczył, że widzi teraz jasno, iż kontynuatorem polityki Sikorskiego był... gen. Berling. To skojarzenie zrodzone w umyśle przeciętnego czytelnika — a dla takich Wojtkiewicz pisze — jest chyba dostatecznie symptomatyczne.

Mimo wszelkich zastrzeżeń jakie nasuwają się wobec omawianej pracy przyznać należy, że książka Wojtkiewicza — a wraz z nią cała jego publicystyczna działalność — jest pożyteczna. Być może, że jest to pożyteczność niezamierzona przez autora, który, jak się wydaje, poświęcił swe pióro walce o uznanie zasług generała Sikorskiego. Tem nie mniej, szturmując otwarte drzwi do chwały swego bohatera, ukazał Wojtkiewicz obraz stosunków emigracyjnych. I tu leży istotna wartość jego pracy. W umysłach wielu ludzi, którzy całą wojnę przebyli w kraju „Londyn Polski" był jakimś monolitem dążeń i woli a emigracja zachodnia zwartym prądem poświęcenia i patriotyzmu. Praca Wojtkiewicza przyczynia się poważnie do zniknięcia tego mitu i zastąpienia go przez obraz właściwy. Obraz pełen ...przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów, zapóźnionych żalów, potępieńczych swarów." Bo właśnie tak a nie inaczej wyglądała ta nasza emigracja. Ta gorzka może prawda będzie napewno pożyteczniejsza niż wyimaginowane ideały. I na tle tej prawdy jakże inaczej wygląda jej dalsza konsekwencja — zagadnienie tych co dziś jeszcze na emigracji pozostają.

Czytajcie i prenumerujcie
„Kuźnicę"

CENY OGŁOSZEŃ: 1 kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000 1/16 kolumny zł 5.000; Drobne ogłoszenia 25 zł 1 mm na 1 szpaltę.

Redaguje Zespół „Kuźnicy". Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
D—012093
Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.

Wydawca: Zespół „Kuźnicy". — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" Nr. 4, ul. Żwirki 2.